TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 66. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 17/29 grudnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Pomnik ks. Głogowskiego w katedrze płockiéj (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa. — Kronika sztuk pięknych. — List Tadeusza Padalicy z Ukrainy (z pięcią drzeworytami).—Były klasztor cystersów w Lubiążu (Leubus) w Szląsku pruskim (z drzeworytem). — Obrazy wielkopolskie.—Szachy. — Rebus.—Hrabianka Dynia, obrazek skréślony przez Teod. Tom. Jeża (dokończenie).—Śródleśna cisza, poezya J. Szujskiego. — Korrespondencye Tygodnika Illustrowanego.—Korrespondencya od redakcyi.—Doniesienia.

POMNIK
Ks. Pawła Głogowskiego
W KATEDRZE PŁOCKIÉJ.

Pomiędzy licznemi pomnikami w starożytnym kościele katedralnym w Płocku, do najozdobniejszych należy nagrobek ks. PawłaGłogowskiego, dziekana płockiego, zmarłego w r. 1580, umieszczony na południowéj ścianie kaplicy, pod północną wieżą kościelną. Był to mąż sławny w swoim czasie z nauk i biegłości w językach starożytnych, mianowicie w greckim i łacińskim, przyjaciel znakomitego kardynała Hozyusza, niepospolity prawnik, człowiek zacny i wielu przyjaciół mający. Urodził się w r. 1502 we wsi Głogowcu, w dawnéj ziemi gostyńskiéj, dziś w obwodzie tegoż nazwiska leżącéj, która od wieków była gniazdem zamożnéj jego rodziny. Ojciec jego sprawował urząd sędziego téjże ziemi, a matka miała imię Wychna. Po ukończeniu akademii krakowskiéj, poświęciwszy się stanowi duchownemu, nauką osiągnął stopnie znakomite w hierarchii kościelnéj; był bowiem kanonikiem pułtuskim, poznańskim, a w końcu dziekanem katedry płockiéj, na któréj to ostatniéj godności umarł, mając lat wieku 78. Współczesni jemu pisarze chwalą go jednogłośnie; tak Andrzej Święcicki w Topografii Mazowsza powiada, że dziekan Głogowski był to starzec głębokiéj nauki i wielkiego światła, który znakomicie zdobił zgromadzenie kanoników płockich. Zaś Wawrzyniec Wszeraz, mówiąc o uczonych wieku swego mężach, wspomina o nim, że był równy w naukach Stanisławowi Hozyuszowi, a słynął mianowicie z wybornego stylu w języku łacińskim. Dzieła atoli jego piśmienne dotąd w literaturze naszéj nie są znane. Jedyną po nim pamiątką został kościół murowany we wsi Głogowcu, który własnym nakładem w r. 1577 wystawił i hojnie uposażył, a w którym z dawnych czasów znajduje się słynny cudowny obraz Najświętszéj Panny, jakoby jednemu z Głogowskich, znakomitemu rycerzowi, w darze przez cesarza wschodniego dany, i przez tegoż za powrotem w progi ojczyste, jako skarb szacowny, w głogowieckim kościele złożony.

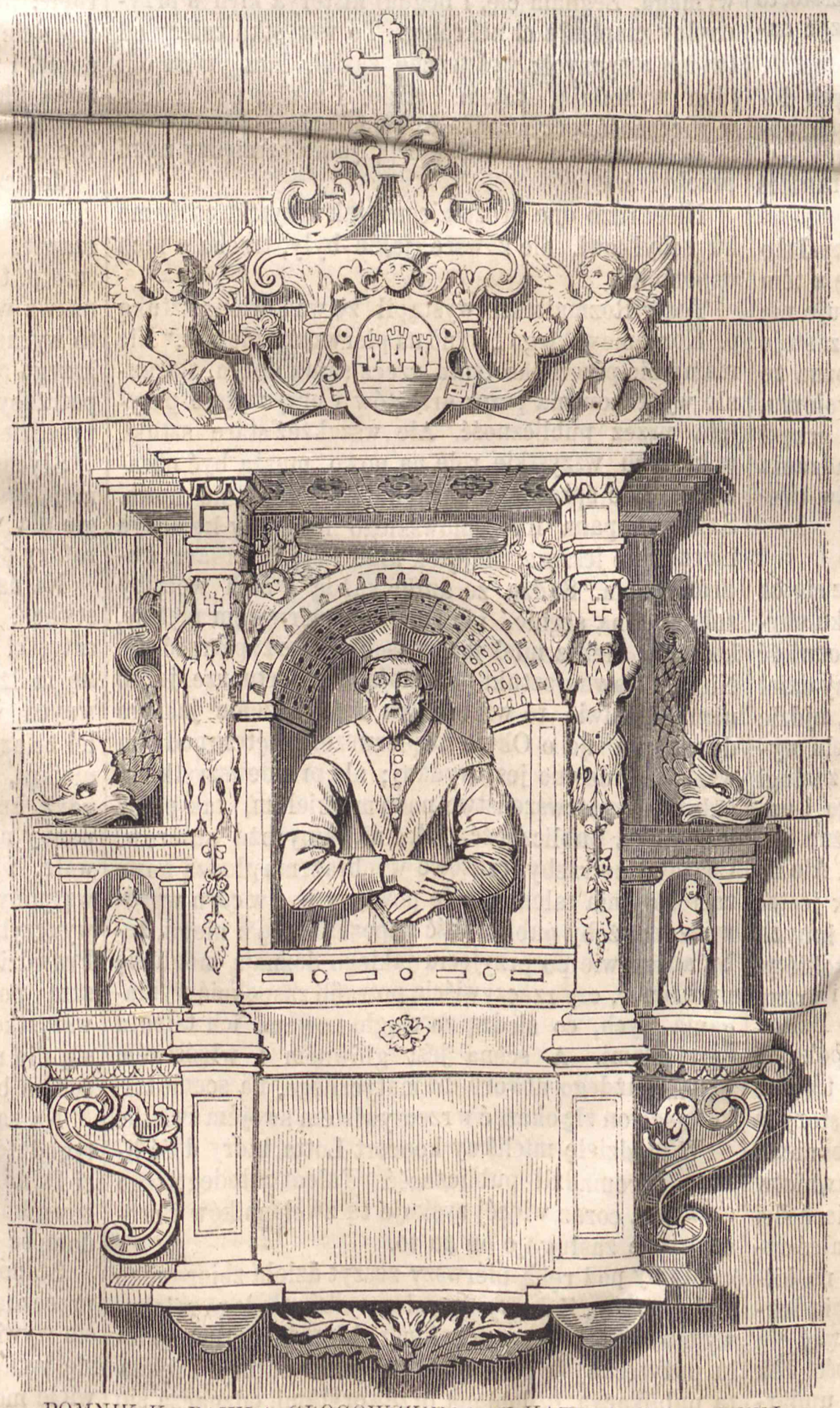

POMNIK Ks. PAWŁA GŁOGOWSKIEGO W KATEDRZE PŁOCKIEJ.

Do budowy owéj świątyni przywiązana jest następna legenda. W owym czasie, kiedy Głogowski rozpoczął budowę kościoła, brat jego, dziś z imienia nieznany aryanin, stawiał także we wsi swojéj dziedzicznéj Raciborowie, przeciwległéj Głogowcowi, zbór aryański. Otóż obaj bracia, chcąc jeden drugiego w ukończeniu rozpoczętych budowli wyprzedzić, postanowili pracującym przeszkadzać strzelaniem, a gdy razu pewnego stał na wznoszonych przez siebie murach aryanin, ugodzony został ze szmigownicy kulą od ludzi stawiających kościół, przez co życie utracił i budowla przez niego rozpoczęta nie była ukończoną, kiedy głogowiecka wspaniale do skutku przyszła.

W lat kilka po śmierci Pawła Głogowskiego, przyjaciele, chcąc uczcić pamięć swego znakomitego ziomka, wystawili mu nagrobek w katedrze płockiéj, który bez zaprzeczenia pod względem sztuki nad wszystkiemi piérwsze trzyma miejsce i jest dotąd najcelniejszą ozdobą tego kościoła. Wypukło-rzeźbą zmodelowane popiersie prałata, umieszczone jest w sklepisto zakończonéj wnęce, po któréj bokach piękne znajdują się karyatydy. Napis pod popiersiem umieszczony w następujących daje się wyczytać wyrazach: *Reverendissimo Domino Paulo Głogowski, Decano Plocensi, viro pietatete et sapientia summa, sacrarum literarum et jurisprudentiæ cognitione præstanti, vitæ innocentia, morum castitate, hospitalitate, modestia singulari. Cineri ejus domicilium hoc ante preparatum et dotatum amici posuere.* Obiit die X Febr. A. D. MDLXXX aetatis suae 78; co znaczy po polsku: Najprzewielebniejszemu Pawłowi Głogowskiemu, dziekanowi płockiemu, mężowi pobożnością, mądrością i wielką znajomością pisma świętego, nauką prawa, niewinnością życia, czystością obyczajów, gościnnością i szczególną skromnością znakomitemu. Popiołom jego to zachowanie, dawniéj przygotowane i uposażone, wystawili przyjaciele. Umarł dnia 10 lutego 1580 r., mając lat 78.

Pomnik ten wyrobiony jest z gipsu, tyle zaś ma rozmaitych i tak pięknie wykonanych szczegółów, że go za arcydzieło stylu odrodzenia uważać można.

Kronika tygodniowa.

O roku kończący swoje istnienie!

Cóżeś zrobił dla nas?

Wyliczmy te dobrodziejstwa któremi nas obsypałeś, zróbmy z sobą mały rachunek sumienia o starowino, jeżeli nie dla twojéj już poprawy, co niebardzo jest potrzebném, bo i tak niedługo nam z tobą, to przynajmniéj dla tego młodzieniaszka, co pyzaty, świeżuchny i z uśmiechniętą miną wygląda z poza szczeliny płotu, z obłoku przyszłość okrywającego.

Dałeś nam nowy bruk na Wierzbowéj ulicy.

Wielkie to dobrodziejstwo, ale przejdźmy do innych.

Zgromadziłeś potrzebne fundusze na instytut muzyczny.

Ba, zebyśmy się wszyscy z muzyków składali, tobyśmy ci wyprawili za to dobrodziejstwo serenadę. Ale ponieważ nie wszyscy radziśmy śpiéwać i grać, więc dla przyzwoitości uchwalamy dla ciebie adres dziękczynny i przechodzimy do porządku dziennego.

Przyprowadziłeś do skutku Towarzystwo sztuk pięknych.

Nie chcemy o tém za bardzo rozprawiać, gdyż jako związani z Tygodnikiem Illustrowanym, jesteśmy trochę dla sztuk pięknych stronni. Dziękujemy ci w imię artystów współpracowników, a nawet i niewspółpracowników naszych, za sprawą których kilkakrotnie sami głos wznosiliśmy. Cóż daléj?

Przedstawiłeś w teatrach warszawskich parę nowych sztuk i dałeś nam nadzieję, że na przyszły rok jeszcze kilka będziemy ich mieli.

To bardzo mało. Sztuka dramatyczna jest niejako miarą wykształcenia narodowego, jest to wprowadzenie w czyn najżywotniejszéj części literatury. Szekspir w pewném znaczeniu tyle może zdziałał dla Anglii, co i Elżbieta. Wiem dobrze iż Szekspirowie nie rodzą się jak grzyby po deszczu, ale trzeba dla nich choć miejsce przygotować. A dziś chociażby żyli i w piérwszéj dobie życia napisali jakie arcydzieło, to skończywszy ośmdziesiąt lat, mogliby się cieszyć nadzieją, że już pomyślano o przedstawieniu go.

Wybudowałeś w Warszawie mnóstwo nowych domów, odbudowałeś trochę parę miast spalonych, popchnąłeś koleje żelazne, zaprojektowałeś kilka nowych komunikacyj i w wielu miejscach naprawiłeś drogi.

To bardzo przyzwoicie z twojéj strony, żeś myślał o porządku gospodarskim. Ale nie odzywaj się z tém za nadto głośno, żeby ten co po tobie następuje nie sądził przypadkiem, że mu już niewiele pozostaje do uczynienia; jak się dobrze rozpatrzy, to pozna że to tylko początek. A poszepnij no następcy twojemu, niechaj baczy na to, iżby lud nasz roboczy nie grzęzł tak w opieszałości i nie zmuszał do sprowadzania obcych robotników, jak to się działo za czasów twego poprzednika.

W literaturze...

A już to z literaturą, po prawdzie, nie masz się co chwalić. Gdybym ja był tobą, wierzaj mi, o roku chylący się ku ziemi, tobym oczów nie śmiał podnieść na świat. Bo weźno tylko spis bibliograficzny dzieł które wyszły za twego czasu: co do ilości, ujdzie to jakoś, ale co do jakości.... Oprócz niewielu wyjątków, wnuki twoje jak będą rozpamiętywać zasługi dziadka, ogłoszą cię za bardzo niepiśmiennego i nazwą cię co najwyżéj gazeciarzem. Bo nie można powiedzieć, pod tym względem byłeś w postępie. Ale na większy wstyd twojéj płci, o roku, bo jednak jesteś płci męzkiéj, dwa dzieła które silniejsze od innych zbudziły wrażenie, są pisane przez dwie kobiéty: Polska w pieśni Deotymy i Pisma wiérszem i prozą Gabryeli. Prawda, wydałeś także i literaturę Bartoszewicza, ale tam najdokładniéj obrobiona epoka aż do pieśni Śgo Wojciecha o Bożéj Rodzicy. Od téj pieśni już czasy są za nowożytne dla naszego historyka i z mniejszém je daleko opracowywa upodobaniem. Założyłeś parę nowych drukarń i parę wydawnictw urządziłeś, ale nie potrafiłeś nakłonić publiczności do chętniejszego rozkupywania książek. Wydałeś cudny poemat o Kordeckim i wyprzedałeś go na kilka tysięcy egzemplarzy. Niech ci za to ziemia lekką będzie. A już to za zbytki i stroje zmonitować cię muszę koniecznie. Widzisz, co to jest zmienność! Jak zajrzałeś do nas, byłeś skromny, przyzwoity, umiarkowany, aż miło było patrzéć. Mówiliśmy sobie: poczciwy ten rok, Bogu ducha winien; niewiele się wprawdzie po nim spodziéwać, ale przynajmniéj dać nam może zmiarkowanie jakie. Może zwęzi krynoliny, uszczupli atłasów i koronek, pofolguje śniadankom i pijatyce i zniży kusz w kartach. Ale gdzie tam! jakeś się rozhulał, tak ci to jakoś zasmakowało i począłeś jak twoi poprzednicy wyrzucać piéniądze za okno. I byłoby to nie do darowania, gdybyś przy końcu nie zmiarkował się jakoś i sam sobie nie ścieśnił trochę cugli. Za tę łzę pokutującego, o roku Magdalenowy, darowane ci będą przeszłe twoje grzechy. Niechaj to służy za przykład następcom twoim, niechaj wiedzą że jedna poczciwa chwila, starczy do zmazania, do zapomnienia wielu niedostatków, wielu przewinień. I ręczę że pójdzie im to na dobre.

Równoważyłeś się zwykłym torem pomiędzy śmierciami a narodzinami. Oszczędziłeś nam choler, tyfusów, sprowadziłeś zarazę na kartofle, ale dałeś dobre ceny zboża i poprawiłeś stan majątkowy ziemian naszych. Niebardzo wprawdzie służyłeś hymenowi, ale za to Bachus nie ma co się żalić na ciebie, zwłaszcza ten Bachus, który się na bawarskiém wypasł piwie. Trudno!

Każdy *rok* ma gorycze, ma swoje przywary.

Wynalazłeś parę nowych metalów na ziemi i kilka starych planetek na niebie, otrząsłeś się z panicznego strachu przed kometami; odkryłeś jakiegoś robaczka w mięsie wieprzowém i nowe zastosowania elektryczności; jeździłeś lokomotywą po bruku londyńskim, a nie mogłeś na poprawę dorożek warszawskich wpłynąć; otworzyłeś Chiny dla Francuzów i Anglików, a zaparłeś Japonią dla Niemców; zrobiłeś mnóstwo innych rzeczy wielkich i małych, złych i dobrych, o których zbyt szeroko byłoby pisać; ale największą twoją zasługą, że zachowałeś Tygodnik Illustrowany w łasce czytelników.

A teraz żegnam cię, o gwiazdo uchodząca z naszego horyzontu, i nie chcę nawet przy końcu martwić cię wyrzutami, żeś nie wpłynął na poprawę różnych porządków miejskich, których Warszawa koniecznie wymaga. Żegnam cię, i bogdaj historya kiedyś przychylny napisała ci nekrolog. To wszystko zależy od twoich zstępnych: tyś trochę zasiał, lecz jakim oni plon wyhodują, takim będzie. I zanim zapadniesz w wieczność, przystąpię do opowiedzenia tych kilku jeszcze ostatnich chwil twoich, jakie pomiędzy nami przebyłeś.

Niebardzo one urozmaicone, jak wszystko co się ma ku schyłkowi, ale zawsze jakie były, trzeba o nich wspomnieć.

Teatr Rozmaitości wystąpił ze wznowioną sztuką p. Korzeniowskiego „Okno na piérwszém piętrze.“ Nie mamy nic przeciwko temu, rzecz sama dobra, starannie wypracowana przez artystów i przychylnie przyjęta przez publiczność. Ale wszakżeż stare sztuki, w których wszystkie role na nowo muszą być obsadzane, tyle sprawiają zachodu co i zupełnie nowe. Samegoż pana Korzeniowskiego leżą trzy komedye nieruszone jeszcze: Majątek albo Imię, Plotkarz, Podróżomania. Sądzę że autor każdą z nich wolałby zobaczyć na scenie, niż Okno na piérwszém piętrze, któremu nieraz miał już sposobność przypatrzéć się. Niechaj dawne sztuki pozostają w repertuarze, jeżeli usprawiedliwia to wartość ich i powodzenie jakiego doznały, a sąd o Oknie na piérwszém piętrze pod tym względem dawno jest wydany; ale przedewszystkiém należy się piérwszeństwo nowym dziełom, tak przez wzgląd na publiczność, jak i na samychże autorów. Czasowe potrzeby, czasowe wyobrażenia płodzą nowe zastosowania talentu, a te powinny być w czyn wprowadzane, żeby publiczność zapoznała się z niemi, żeby autorowie po przyjęciu jakiego doznają mogli się przekonać, czy rzeczywiście potrafili zaspokoić wymagania tych, co śledzą za ciągle nowemi ich talentu przejawami. A scena jest głównem i właściwém polem każdego utworu dramatycznego, na scenie tylko może on się okazać w rzeczywistém swojém świetle.

W niedzielę mieliśmy koncert Lotta, który dość liczną zgromadził publiczność. Talent młodego tego skrzypka coraz więcéj zyskuje tu zwolenników i rzeczywiście zasługuje on na to.

Mamy pod ręką piérwszy zeszyt dzieła zbiorowego pod tytułem: Zabawy umysłowe dla młodego wieku, wydawanego przez pannę Śmigielską, znaną już z wielu pożytecznych prac w téj gałęzi literatury. Piękna ta publikacya, ozdobiona drzeworytami, odznacza się szczególną starannością wydania i doborem artykułów, których treść umiejętnie jest zastosowana do przeznaczenia dzieła. Radzibyśmy ażeby ono zastąpiło choć w części zbytkowne wydania zagraniczne, które w tak wielkiéj liczbie u nas się rozchodzą.

Pan Nowolecki wydał już swój Skarbczyk Polski i przyznajemy, że tak drzeworyty jak i samoż wydanie daleko lepiéj przedstawiają się w książce, niż na prospekcie. O treści nie wątpiliśmy nigdy, samo nazwisko pani Ilnickiéj dostateczną już pod tym względem było dla nas rękojmią. Książka ta może być bardzo pięknym, a co więcéj pożytecznym noworocznym podarkiem. O pismach wiérszem i prozą Gabryeli wspominaliśmy już przy początku dzisiejszéj kroniki i poczytujemy je za najpiękniejszą ozdobę tegorocznych objawów literackich. Te cztéry tomy więcéj zawiérają treści, aniżeli całe magazyny papiéru, które nieraz inni autorowie z zadziwiającą zadrukowują łatwością. I powiemy autorce na sposób tego oberżysty z komedyi:

— Milczysz wprawdzie długo, ale jak się odezwiesz, to aż słuchać miło.

I ruch książkowy ożywił się jakoś przed świętami; przynajmniéj na gwiazdkę brano się trochę więcéj do literatury.

Mówiliśmy o zabawkach dziecinnych, z których zarazem jest i pewien naukowy pożytek. Otóż w tém tylko biéda, że na tych zabawkach, sprowadzanych po większéj części z Niemiec, wszystkie tytuły i wytłumaczenia są po niemiecku drukowane. Niewielka ztąd korzyść dzieciom polskim. Ale nie oto rzecz. Podczas świąt wpadł nam w rękę z tych zabawek mały globusik, do którego dodane są jakieś kartki z wizerunkami ludzi i zwierząt wszystkich części świata, a podpisami niemieckiemi. Na tym globusiku znajduje się miniaturowa Europa, któréj caluteńki środek zawalony jest tytułem: Deutschland. Jeszcze jest Anglia drobniuteńkiemi literami gdzieś na północ Szkocyi odsunięta, i kawałeczek Turcyi na morzu Śródziemném: reszty krajów ani znaku, Niemcy zalegają wszystko, bo dziecko nie powinno o nikim więcéj wiedzieć w Europie: nauczy się że tam są Niemcy, i to już dość. Sądzicie że to drobnostka. Owszém, to bardzo znaczące, i ręczę wam że fabrykant globusików umyślnie tak sobie Europą rozporządził, chcąc okazać wpływ jaki jego błoga ojczyzna na cały świat europejski wywiera.

Jeszcze trochę wiadomości ze świata gazeciarskiego. Z Nowym rokiem 1861 wychodzić zacznie w Warszawie, pod redakcyą p. Adama Mieczyńskiego, pismo p. t. *Gazeta Rolnicza*, poświęcone, jak sama jego nazwa wskazuje, interesom naszych ziemian. Pismo to wychodzić będzie raz na tydzień, w formacie większego arkusza podwójnego, z illustracyami w miarę potrzeby. *Kronika krajowa i zagraniczna* stanowczo przedzierzga się w *Pszczołę*.

Słychać także iż z rokiem przyszłym pojawić się mają jeszcze dwa pisma, jedno specyalne, prawne, drugie dla wieku młodocianego. Obydwa dla naszéj literatury peryodycznéj pożądaném będą wzbogaceniem.

Na nadchodzący karnawał mówią o kilku małżeństwach. Między innemi wymieniano nam nazwisko artystki wysoko cenionéj z talentu muzycznego. Inne małżeństwo zawiązało się za granicą w dość dziwnych warunkach. Poznanie miało miejsce na kolei żelaznéj, oświadczenie w hotelu, ale co szczególniejsza, oświadczenie to odbyło się przez tłumacza, gdyż ani panna mowy kawalera, ani kawaler mowy panny nie rozumieli. Ślub ma miéć miejsce w karnawale, i sądzimy że odbędzie się chyba na migi, bo wątpimy ażeby w tak krótkim czasie narzeczeni wyuczyli się rozmawiać z sobą. Ale co to szkodzi? Prawdziwa miłość nie dba o takie drobnostki, a zresztą powiedział już poeta, że nie słowo, ale czyn wszystko znaczy. Może nawet i lepiéj gdy małżeństwo się nie rozumié, bo oszczędzi sobie nieraz tym sposobem bezpotrzebnych sprzeczek.

Na samém już zamknięciu naszego sprawozdania tygodniowego, odbieramy smutną wiadomość o śmierci Dominika Szulca, jednego z najzdolniejszych pracowników na niwie historycznéj. Obszerniejszą wiadomość o życiu jego i pracach późniéj podamy.

Stanowisko literackie Szulca, dziś niesłusznie zaprzeczane przez wielu, niemały wpływ w swoim czasie wywierało na piśmiennictwo, młodzież kształcąca się wysoko go ceniła jako swojego professora. To wiele mówi za nim.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Koncert Stanisława Moniuszki.

Koncert Stanisława Moniuszki, dany w salach redutowych 16 b. m., należy do rzędu wyjątkowych w obecnych czasach. Dawno już nie pamiętamy tak świetnego zgromadzenia słuchaczy, tak serdecznego z ich strony dla koncertanta współczucia. Nikną już pomału owe narzekania na obojętność i niesprawiedliwość publiczności naszéj względem własnych swoich rodaków, odznaczających się pracą lub talentem w sztukach pięknych. Dawniéj często można było słyszéć skargi, „że u nas artystów cenić nie umieją, że jeżeli z zagranicy do nas nie przyjeżdżają poprzedzeni sławą lub rozgłosem, nikt o nich wiedzieć nie chce, nikt ich wspomódz nie pragnie," bo nie wierzono ażeby domorosły talent zasługiwał na szczególną uwagę, bo nie przypuszczano ażeby ten, co pomiędzy obcymi nie uzyska sobie chlubnego na mistrza w sztuce uznania, mógł nim być istotnie, bez zagranicznych dyplomów, bez zagranicznych recenzyj, na wiarę tylko małéj garstki przychylnych i sympatycznych głosów. Jak to się czasy zmieniły! Dzisiaj nie brak może jeszcze takich, którzy ślepą wiarę przywiązują do wyroków pochodzących z obczyzny, chociażby źródła ich z niecnego przekupstwa wypływały; niebrak zaiste takich, co jeszcze nie oswoili się z tą myślą, ażeby nasz kraj wydać mógł ludzi talentem obdarzonych, a ukształceniem i nauką godnych stanąć obok znamienitszych imion zagranicznych;.. ale chwała Bogu, zastęp ludzi tak myślących od dawnego czasu coraz staje się mniejszym, a w miarę wzrostu artystycznéj produkcyi naszéj, nakazującéj już w pewnym stopniu poszanowanie, nawet pomiędzy nieprzyjaznemi nam żywiołami, jest nadzieja że zniknie kiedyś zupełnie, że strawi się w zgliszczach własnego pessymizmu.

Muzyka u nas od lat kilku rzuciła się śmiało w olbrzymią lubo niebezpieczną krainę dramatu, i odrazu dosięgnęła tych wyżyn, do których dawniéj dojść nie mogła pośród najprzyjazniejszych nawet okoliczności. Ukazanie się na scenie *Halki*, jest niejako epoką odrodzenia sztuki naszéj muzycznéj. Piękności jéj liryczne, będące skutkiem wiernego przejęcia się żywiołem narodowym, ogarnęły silnie słuchaczów zdolnych je pojąć i ocenić. Zdumiano się z razu muzyką *Halki*, tak potężnie do ogółu przemawiającą; lecz kiedy rodzinna melodya, brzemienna tkliwą rzewności nutą, przedarłszy się przez owę zdumienia powłokę, dotarła do serca i duszy słuchaczów, a uderzyła tam w struny dotąd milczące, wtedy te struny dla twórcy *Halki* dźwięknęły jednym wspaniałym akordem uwielbienia. Moniuszko, zaledwie małéj tylko liczbie osób znany przedtém, od razu stał się najpopularniejszym z narodowych kompozytorów, i pomimo że następne jego utwory, jakoto: *Flis*, *Hrabina i Jawnuta*, pod względem dramatycznéj wartości pomysłów niżéj stoją od piérwszego dzieła, jednakże wiara w jego talent nie osłabła wcale, a w oczekiwaniu na coś godniejszego i odpowiedniejszego duchem i artystyczną wartością *Halce*, współczucie ogółu publiczności dla Moniuszki, jako artysty i człowieka, nietylko że się nie zmniejsza i nie stygnie zgoła, ale owszem, przy każdéj sposobności w jaskrawych i gorących barwach się objawia. Świéży tego przykład mieliśmy na koncercie, o którym tutaj słów kilka powiedzieć pragniemy.

Program złożony był z samych utworów naszego kompozytora. Rozpoczęła go *uwertura* wykonana przez wielką orkiestrę. W uwerturze téj Moniuszko przedstawił nam się z innéj, mało dotąd znanéj strony; zdaje się że jakaś gwałtowna, gorączkowa niespokojność, niby troska niepewności, niby ropsacz, umysł twórcy do nadzwyczajnych wysileń wiedzie, tak ruchliwe, niespokojne i febryczne jest jéj założenie. Zjawiający się następnie motyw, jakby rezygnacya, a więcéj może jeszcze jakby pociecha, tkliwym tonem oboju, późniéj przez wiolonczellę powtarzanym, łagodzi w części niespokojny charakter panującéj myśli, ale nią w zupełności owładnąć nie może; bo otóż wyrywa się z objęć pociechy i pędzi we wzrastającéj gorączce aż do kresu swego przeznaczenia.

Dziwnie to zajmująca uwertura, a tak świéża i odmienna pomysłem od wszystkiego co dotąd liryczny mianowicie talent tego kompozytora utworzył, tak pełna ognia w rysunku melodyjnym i kolorycie instrumentalnym, tyle w niéj namiętnego uczucia, iż w interesie sztuki i w interesie samego autora życzyć należy, abyśmy się z nią lepiéj i bliżéj poznali.

Dwa ustępy z rozpoczętych nowych prac Moniuszki, to jest: z *Rokiczany* ballada o Floryanie Szarym z chórem męzkim i kawatina z recytatiwem z *Paryi*, wykonane, piérwszy przez Troschla, drugi przez Dobrskiego, dobrze wróżą o całości tych na wielki podobno rozmiar przedsięwziętych dzieł. Skoro nadejdzie czas wystawienia ich na scenie, wsparci logicznym biegiem rozwijającego się dramatu, poznawszy dokładniéj wartość stosunkową ich zasadniczéj charakterystyki, w odnoszeniu się do środków i celu jaki sobie autorowie tych oper założyli, bardziéj stanowcze zdanie o nich wyrzec będziemy mogli.

Do mniejszych, lubo nie w artystyczném znaczeniu tego słowa, numerów, policzyć można dwa ustępy wykonane z towarzyszeniem fortepianu przez pp. Ziółkowskiego i Koehlera, *sonet* do Niemna i *sielankę* pod nazwą *Lirnik wioskowy*. W sonecie rzewna melodya toczy się spokojnie i łagodnie, niby wody tego króla rzék litewskich, podczas cichéj a pogodnéj nocy letniéj; w sielance zato opiewającéj dzieje serca ludzkiego, téj tajemniczéj przepaści, któréj dna nikt jeszcze z żyjących dostatecznie nie zgłębił, oczywiście muzyka musiała zakreślić cykl odpowiedni charakterystyce uczuć w niéj panujących i uplastycznić takowe odpowiedniemi formy. Dlatego to autor podzielił ją na cztéry pieśni, stanowiące jednę niby organiczną całość i zawarł w niéj najdroższe i najtkliwsze swoje natchnienia. O ile z piérwszego razu sądzić można, zdaje nam się iż pod względem starannego i bogatego opracowania, jest to najudatniejszy ustęp ze wszystkich jakie Moniuszko w tym rodzaju napisał. Koehler prześlicznie owę sielankę wykonał, w wiérszu zaś: *Skonam grając na lirze*, powtarzającym się przy końcu każdéj pieśni, głos jego i nadzwyczaj wymowna deklamacya, do głębi duszy wzruszały słuchaczów.

Pan chorąży, ulubiony polonez, grywany pomiędzy drugim i trzecim aktem *Hrabiny*, był przedostatnim ustępem tego zajmującego koncertu. Wdzięczną tę kompozycyą na jakibądź instrument ułożyć, zawsze będzie piękną i miłą, a cóż dopiéro gdy dobrze dobrane głosy ludzkie, te najdoskonalsze ze wszystkich instrumentów, podejmą się ją wypowiedzieć. Dobrski, zazdroszcząc wiolonczellom, które dotąd rzewnemi tony swemi w teatrze polonez ów śpiéwały, uprosił Moniuszkę, że przełożył go na tenor, dwa barytony i bass. Więc znalazłszy odpowiednie rytmem słowa Wincentego Pola, podłożył takowe kompozytor pod muzykę, i Dobrskiemu, Ziółkowskiemu, Koehlerowi i Troschlowi wykonanie powierzył. Potrzeba wyznać, iż w miejscach silniejszych w ekspressyą, głosy ludzkie lepiéj się wydały; lecz w odcieniach wymagających delikatniejszego stopniowania, wiolonczelle zdają się miéć przewagę.

Duet braci Wieniawskich, ułożony na skrzypce i fortepian, znakomicie odegrany przez Izydora Lotto i Kanię, dzielił koncert na dwie połowy; kończył go zaś wyjątek na chór i orkiestrę z *Mildy*, téj wspaniałéj i bogatéj w muzykalne pomysły kantaty, wykonanéj przed dwoma laty w tém samém miejscu, a niedosyć przez słuchaczy ocenionéj. Podobno Moniuszko ma zamiar *Mildę* przedstawić na scenie, a Jasiński, dyrektor teatrów, osnowę stosownie do wymagań sceniczności ułożył. Zobaczymy wkrótce jak się wyda, wyjątek zaś o którym mowa jest tak piękny i wzniosły stylem, jak już dawno nie zdarzyło nam się słyszéć. Publiczność tak kompozytora jakotéż i wykonawców ciągle okrywała hucznemi i grzmiącemi oklaskami. Z radością notujemy więc ten fakt, będący nowym dowodem ocenienia talentu i zasług Moniuszki ze strony ogółu, a kończąc niniejsze sprawozdanie, pozostaje nam tylko wyrazić życzenie, ażeby w przyszłych swoich koncertach zechciał nam dać poznać większego rozmiaru prace swoje, ukrywające się dotychczas w rękopismach. Szczególniéj upominamy się o kantatę z *Dziadów* Mickiewicza, pewni naprzód powodzenia, jakie znakomity ten pod wielu względami utwór miéć będzie.

LIST TADEUSZA PADALICY Z UKRAINY.

II.

Przesyłamy wam dalszy ciąg *Szkiców z Ukrainy*. Piérwszy wyobraża *Czumaka* z jego *mażą*, czyli wozem, którym odbywa on podróże swe do Bessarabii, Odessy i Krymu. Przed laty, gdy te wędrówki odbywały się przez niezasiedlone ukraińskie stepy, na których koczowały tatarskie hordy, albo wypasały się *tabuny* zaporożskiego kosza, — podróże te miały koloryt poetyczny, wymagały pewnéj odwagi i połączone były z niebezpieczeństwem. Piérwszym warunkiem takich podróży było uorganizowanie się Czumaków w *walki*, to jest stowarzyszenia, liczące wozów kilkadziesiąt i tyleż osób, ażeby w razie wypadku, napadu lub nieszczęścia, łatwiéj było sobie dać radę w pustyni. Lecz nie miały one nigdy charakteru najezdniczego i nie zajmowały się kradzieżą ani łupieztwem. Owszem, handel ich i zajęcie były zawsze legalne i nazwaćby je można piérwszym zawiązkiem stosunków handlowych z państwem tureckiém, w te mniéj więcéj krótkie przerwy czasu, gdy traktaty zawieszały wojny rzeczypospolitéj polskiéj z Portą i najezdnicze hordy zaprzestawały rozpuszczać swe zagony na Ukrainę. Koniecznością co je przy ciągłém utrzymywała życiu, była potrzeba soli, a tę otrzymywała Ruś cała z limanów i jezior krymskich, lub bessarabskich. Nadto ujścia Dunaju, Dniestru, Bohu i Dniepru obfitowały w ryby, które solono i sprzedawano Rusinom. Zajmowali się tém Tatarzy i Kozacy.

Nazwisko *Czumak* tłumaczono uprzednio od *czumy*, to jest dżumy, zarazy, która istotnie grasowała niegdyś na Rusi i najprawdopodobniéj przywożono ją z Turcyi. Lecz w tém zdarzeniu omylono się podobieństwem brzmienia wyrazu. Czumak, jest tatarskie „Czukmak" i oznacza przewoźnika, nomadę. Za czasów panowania Polski i egzystencyi Zaporoża, Czumani chodzili już po sól i rybę temi samemi szlakami, któremi chodzili i Tatarzy. Oczakowski, inaczéj zwany *czarnym szlakiem*, a u ludu *szpakowym*, szedł z Wołynia na Humań, Bałtę, Olwiopol i Mikitynę przeprawą na Dnieprze. Drugi zwał się *Murawski* i ciągnął nad brzegami Worskli, Berestowatéj do ujścia jéj w Samarę, potém przecinał zaporożskie pałanki i u *Końskich wód* wchodził w granicę koczowisk tatarskich. Na stepach zaporożskich Czumacy znajdowali opiekę i przytułek w zimownikach czyli futorach kozackich; lecz za Dnieprem podróż ich inny przybierała charakter. Czumak zwykle tam przywdziewał koszulę wysmarowaną dziegciem, dla zabezpieczenia się od owadów i gadzin, nabijał ruszn cę, dostawał spisę, a na piersi w skórzanym *hamańc* zawieszał bilet, opatrzony pieczęcią pogranicznego gubernatora i przetłumaczony na tatarski język. Tam już aż do Perekopu i za Perekop, nie było sioł ani futorów i on spotykał tylko tabuny tatarskie, często stada dzikich koni. Jeśli na drodze był jaki aul, a w nim żył aga lub murza, tam świadectwo pogranicznego urzędnika dawało mu prawo na swobodne przejście, lecz w stepie niewiele znaczyło ono i często Czumacy narażeni byli na napady Nogajców. Stepy te nie miały szlaków i doświadczeni Czumacy kierowali się na nich dniem według słońca, mogił i kierunku jarów, a nocą według gwiazd, jak żeglarze na morzu.

To koczujące życie nacechował zwyczaj pewnemi regułami i dał im moc obowiązującą. Czumacy zwykle wychodzą w drogę zaraz z początkiem wiosny, *wałkami*, czyli stowarzyszeniem nie przenoszącém wozów 30 lub 40tu. Wybierają z grona swego atamana, a w kolej pełnią służbę strażniczą przy wozach i wołach i nadto jeden lub dwaj przeznaczani są do kotła na *kaszowarów*. Wychodzą z wiosek w drogę zwykle wieczorem; odtąd ciągle nocują obozem w stepach. Uchodzą dziennie najwięcéj wiorst trzydzieści. Ruszają z miejsca noclegu o świcie, stają na popas o siódméj. Tę poranną podróż zwą podróżą o zorzy, a godzinę popasu zaczynają, gdy słońce podejmie się nad horyzont na długość dwu dębów. Gdy woły się pasą, Czumacy jedzą śniadanie. O południu następuje drugi popas i obiad. Ku wieczorowi stają na nocleg i wieczerzę. Jedzą *kulesz* ze słoniną, chléb, *haluszki*, a w powrocie soloną i więdłą rybę, z któréj najulubieńszą jest tak zwana *tarań*. Dla wołów wybiérają bujne stepowe pastwiska i czyste wodopoje. Wymijają zanieczyszczone krynice i stepy obfitu-

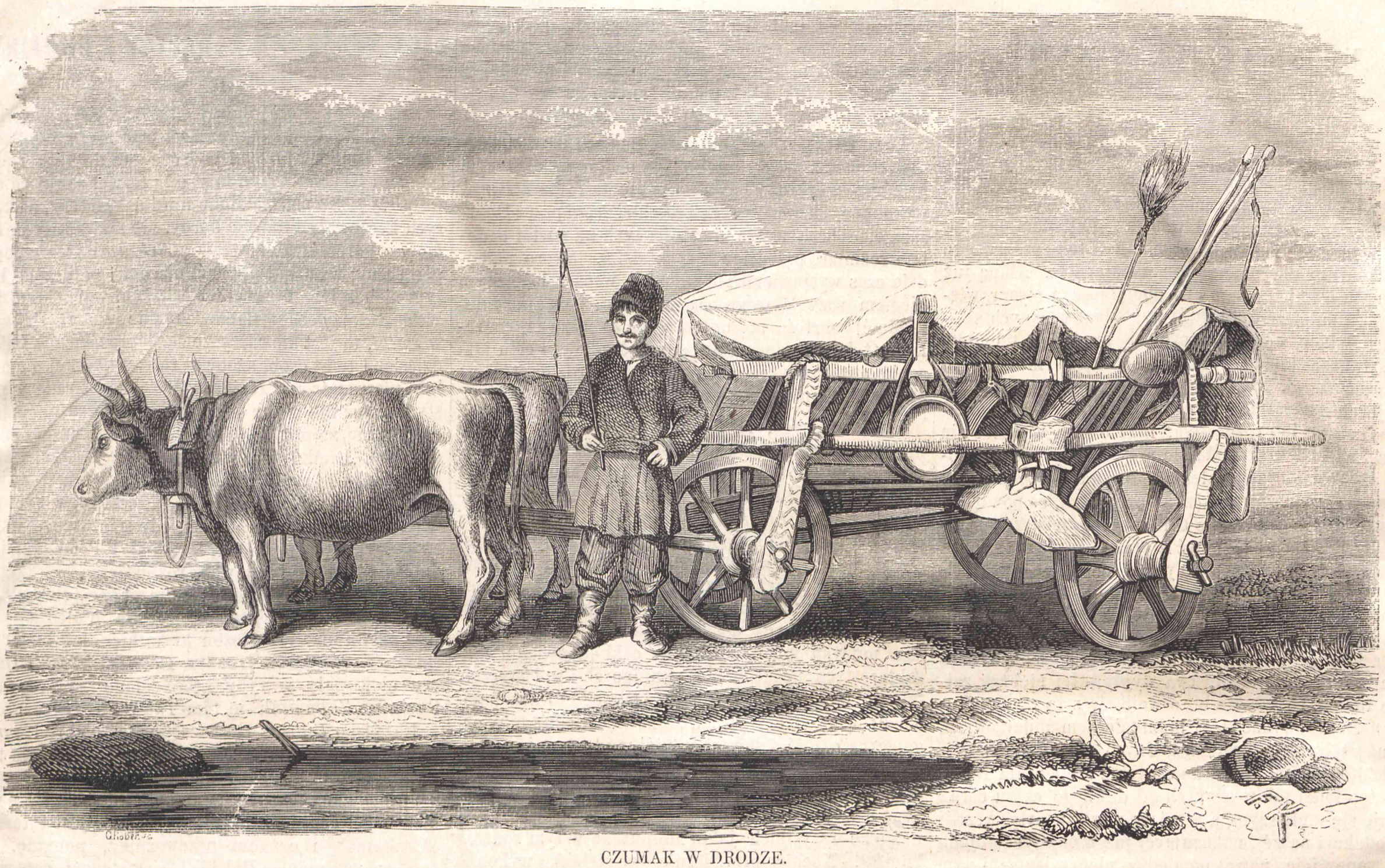

CZUMAK W DRODZE.

jące w tak nazwane *sołonczaki*, to jest miejsca pokryte iłem solnym, a których mnóstwo jest z lewéj strony Dniepru i nad Siwaszem. W ogóle stepy nadlimanowe nie są zdrowe dla wołów i ludzi. Czumacy podlegają tam febrze od wyziewów błotnych, a bydło zaraża się księgosuszem. Wody mało i są miejsca gdzie na przestrzeni wiorst pięćdziesięciu, niéma ruczaju ani krynicy. Niegdyś stepy były zupełnie wolne dla popasów i tylko wodopoje opłacały się. Dziś biorą za popasy od 1 do 2 kop. sr. za parę wołów i od 3 do 5 kop. sr. za wodopój. Studnie te dochodzą głębokością do 30 sążni, a wodę najczęściéj cią-

WNĘTRZE CHATY UKRAIŃSKIÉJ.

ASSAUŁA.

UKRAINKI.

gną za pomocą liny uwiązanéj do konia. We skwary letnie, zdarza się często iż wybierają wodę i liczne obozy czumackie koczują około studni, czekając aż się znowu nabierze. Rząd kazał wykopać kilka studni i wynajmuje je. Przy niektórych bierze tylko opłatę za naczynie i posługę. Prywatni właściciele niektórych pastwisk i studni wprowadzili we zwyczaj następne nadużycie. Za pastwisko i wodopój biorą grosz lub dwa tylko, ale do każdéj pary wołów obowiązują wziąć *ośmuchę* wódki z szynku. „Niby to jeszcze, powiadają Czumacy. Ośmucha kosztuje 4 grosze, lecz jeśli kto ma cztéry pary wołów, musi wziąć cztéry ośmuchy. Sam nie wypijesz, więc częstujesz drugich. A gdy zakręci w czubie, często zahulasz i przepijesz wszystko, i wóz, i woły, i odzież, i cudzy towar. Niejeden z nas powrócił z batogiem tylko.“ Czumacy sarkają mocno na opłaty i wyderkafy w stepach. „Za wszystko dziś musimy płacić, mówią. Wszystko zaarendowane, prócz nieba.“ W istocie, biorą od nich opłatę za wodopój, za pastwiska, za mosty i przeprawy. W niektórych miastach zmuszają ich, przed nabraniem towarów, oczyścić ulice, przywieźć kamieni lub piasku.

Malownicze są czumackie noclegi. Wozy ich zwykle są ustawiane w kwadraty, mające od pięciu do dziesięciu wozów z każdéj strony. Wewnątrz rozniecone ogniska, na których stawią żelazne trójnogi dla zawieszania kociołka. Woły pasą się w oddali. Ogień oświéca ogorzałe lica Czumaków i silnym kolorytem naprowadza tło całego obrazu. Równie malowniczą jest ich wędrówka. Długie *wałki* ciągną przez stepy *bajraki* i doliny. Mogiły i kurhany gdzieś daleko okalają widokrąg, a nad tym niezmiernym, zielonym obszarem, pali się lazur nieba i wieszają się orły, lub kłęby chmur, jak podarte żagle, gotują burzę. Wichry w kształcie olbrzymich słupów chodzą po stepie, migocą miraże i jaskółki kołując na szlaku, jakby czarnemi nićmi oplatają czumacką karawanę.

ŻYD KOLONISTA Z CHERSOŃSKICH STEPÓW.

Jużeśmy powiedzieli iż jedne obozy Czumaków idą po rybę, i te kierują się ku Donowi i azowskiemu morzu, drugie na Perekop, po sól. Po przebyciu rzeki Dżemrek, droga idzie przez osady kolonistów niemieckich: Janysel i Kiermenczyk, następnie zwraca się ku rzéce Kobylnéj, potém Wilczéj, gdzie prawdziwa pustynia dotychczas, gdzie przed kilkunastą jeszcze laty widziano stada dzikich koni. Potém na numera apuchtowe, na czernigowskie futory, kolonią Krasnytraktyer, Astrachankę, zasiedloną Mołokanami, Kizlar i Melitopol. Ztąd dwie stacye do Perekopu. Na Dniestrze przeprawy dotychczas są w tych samych punktach, gdzie były za czasów polskich. Na Siwaszu most zbudowany na palach. Za Perekopem piérwsze słone jezioro zowie się *Tonkie*. Lewy brzeg Dniepru obfituje w *sołonczaki* i piaski oleszkowskie; ztąd unikają go Czumacy i dają pierwszeństwo szlakowi który ciągnie się nad Ingułem i Ingulcem. W Berysławiu zwykle ściągają się z kilku szlaków Czumacy, a ztąd utrudnia się przeprawa.

Jeziora krymskie są własnością rządu i postawieni urzędnicy zajmują się wyrobem soli, niektóre zaś pomniejsze jeziora arendują prywatnym osobom. Za najlepszą uważa się sól pobierana z jezior Krasnego i Starego. W Perekopie lustrują wałki czumackie i wydają im świadectwa na przejście ku jeziorom. Tam wydają im sól ze składów, a odbiérają pieniądze przy powtórnem ich przejściu przez perekopskie wrota.

Pochody Czumaków, zwyczaje i obrzędy, mają wiele poetycznéj, nawet rycerskiéj barwy, lecz jak to życie stepowe, bujne, posiadają i odwrotne strony. Lud uwiecznił je w pieśniach i dumach, i na Ukrainie nie masz żadnych innych pieśni w takiej obfitości jak te, co opiewają życie, przygody i śmierć Czumaków. I Czumak, jak Kozak, żył w stepach, walczył z przygodami, musiał być przebiegły, odwa-

żny i wytrwały na głód i znoje. Zima tylko była dlań wytchnieniem po całoletnich trudach, gdy pod rodzinną strzechą używał owoców swéj pracy. Ale nie zawsze powracał on do domu. Febry krymskie, spisa tatarska, albo dżuma zabiérały ich często w drodze, o czém świadczy to mnóstwo przydrożnych czumackich grobów, które do dziś dnia stoją przy czumackich szlakach. W stepach Czumak nie ma obok siebie doktorów, ani apteki, ani znachorów i bab wróżbiarek, co umieją *zaszeptać* chorobę. Gdy umiera, zwykle obóz natenczas zatrzymuje się, a konający przyzywa do siebie jednego z bliższych towarzyszy i spowiada się z grzéchów, rozporządza swym majątkiem, przesyła ostatnie pożegnanie żonie, rodzicom, dzieciom lub kochance, żegna towarzyszy i woły swe ukochane. Schodzą się natenczas towarzysze, żegnają się, modlą nad ciałem, obmywają je, wkładają nań białą śmiertelną koszulę, którą każdy Czumak nie zapomina wziąć z sobą w drogę, kopią grób tuż przy drodze i rzuciwszy po garści ziemi na spuszczone doń ciało, zasypują go. Nad mogiłą stawiają wiechę i u wiérzchu przywiązują do niéj kolorową chustkę. Do dziś dnia w stepach dają się widzieć takie wiechy z chustkami, a gdzie one znikły, tam uroczyska przybrały nazwiska „braci Czumaków," lub „mogiły Czumaka." Lecz nie na tém kończy się obrzęd pogrzebu. Czumacy ruszają w dalszą drogę, a przybywszy do piérwszéj wsi, zatrzymują się. Jeden z nich idzie do pałamarza i umawia się o podzwonne za duszę Czumaka. Ten zaś przed którym, nieboszczyk odbył spowiedź, idzie do popa, ażeby mu oddać wyznane grzéchy. —Czego chcesz? pyta go pop. —Mam prośbę do ojca. Towarzysz mój oddał Bogu ducha w drodze. Przyjmcie grzéchy jego, które wam przynoszę. Miejscowi kapłani wiedzą już o tym zwyczaju Czumaków, więc biorą do rąk krzyż i ewangelią, a towarzysz powtarza wszystkie grzéchy przed kapłanem, jakie mu wyznał nieboszczyk. Poczém paroch jedzie do grobu i „pieczętuje" go według obrządku, to jest czyta modlitwy. Dopełniwszy téj powinności, Czumak dopędza obóz, który już poszedł w dalszą drogę.

Czumak ukraiński, pod względem junakieryi, zuchostwa i odwagi, trzyma piérwsze miejsce po Kozaku i za takiego uważa go lud cały. Często Czumak był wprzód Kozakiem. Cechują go te same przymioty złe i dobre. Sumienny on i rzetelny jest w spełnianiu przyjętych na się obowiązków; ale nie zawsze bywa panem swéj woli i jeśli nie ukradnie nigdy, za to często się zdarza, że pohula w drodze i przepije wszystko. Stateczniejsi dorabiają się znacznéj niekiedy fortuny. Znam wielu Czumaków posiadających po kilkadziesiąt par wołów i po kilkadziesiąt tysięcy rubli srébrem w gotowiźnie. Bogactwo nie psuje go wszakże, ani przerabia na człowieka czyniącego zadość wymaganiom czasu. Zawsze on tenże prosty chłop o zawiesistym wąsie, jak on nosi kożuch, świtę i barankową czapkę, dziegciem smaruje buty i mieszka w zwykłéj ukraińskiéj chacie. Całą i jedyną różnicą jest, że odzież i chatę ma lepszą od zwyczajnego wieśniaka. Mało w pośród nich jest piśmiennych. Są to ludzie zwykle mocno zbudowani, zdrowi i silni, pełni niekiedy chłopskiego humoru, poczciwi ale hardzi. Mnóstwo o nich krąży anegdot na Ukrainie, może więcéj jak pieśni.

Podczas ostatniéj koliszczyzny, gdy hajdamackie szajki wałęsały się na Ukrainie i w stepach, zdarzało się że hajdamacy napadali i na Czumaków, obdzierając ich wozy. A jeśli Czumak był dzielny, nie zawsze pozwalał krzywdzić siebie. Chłop z Kumejek, Klim Bielik, taki jeden wypadek rozpowiedział Kuleszy: „Nie samę, powiada, Polskę grabili oni. Dobrze się oni dali i nam we znaki. Nie można, bywało, przewieźć ani wiktuałów, ani nic zgoła. Rozpowiadał nam ojciec: Jedziem, powiada, z Zaporoża. A z nami był jeden który miał na Zaporożu brata, więc ten dał mu ryb dwa wozy. Jedziem tedy z Zaporoża; wtém patrzym, aż stoi na środku drogi spisa zatknięta w ziemię. To oznacza: nie idź daléj, bo jak wyskoczą przeklęte *komyszniki*, to nie długo będziesz patrzał na świat Boży. Zatrzymaliśmy woły, aż patrzym jadą trzej komysznicy. Dwaj z nich pozostali na koniach, a trzeci zeskoczył i do wozu. Rozszнuruj wóz, wráży synu! Rozsznurował. On wnet zaczął wyrzucać rybę z wozu. A na drugim wozie stérczała spisa. Czumak patrzał—patrzał—wtém nagle pochwycił spisę i jak pchnie nią komysznika, tak go i przejął na wylot.

— A chodźcie, powiada, i wy (do tych co na koniach siedzieli)—i wam tak będzie! Tamci widzą że to zuch jakiś i stchórzyli.

— A cóż, powiadają, my sami widzim że on, wraży syn, znęca się. I odrzucili broń od siebie.

— Pochowajmy go, mówią, bracia. Wszak to nie zdechlizna a chrześcianin.

Zawinęli w radno, które wzięli u tego Czumaka— i pochowali. A pochowawszy mówią:

— Któż ty taki?

— Ja, powiada, ten-to a ten. Byłem w gościnie u brata.

— Znamy, mówią, tego Kozaka. A żebyż cię! Jeślibyś ty powiedział nam choć słówko, żeś jego brat, mybyśmy ciebie nie zaczepili.

I pojechali.

Ale nie zawsze hajdamacy spotykali takich zuchów. Najczęściéj Czumacy płacili im daninę solą, rybą lub pieniędzmi. Zatykali oni spisę na drodze, albo kładli rusznicę lub nahajkę, a sami na przesłanym kobiercu albo na burce leżeli obok, paląc lulkę i tylko pomrugując wąsami duzemi jak wiechcie. Jeden Czumak, Ochrym Wajłenko, widział takiego hajdamakę w podróży swéj z Krymu i opowiada że było Czumaków z dwudziestu, a on jeden tylko. Położył nahaj na drodze i mówi: „płaćcie mi *podorożne*, bo bić będę." I zapłacili co kazał.

Jest podanie u Czumaków o jakichś stepowych potworach, mających ludzką postać a psie głowy, zwanych *pesyhołowcy*. Porywali oni Czumaków, odkarmiali orzechami i żołędziami i potém ubijali na mięso. Tak karmili, iż zaciąwszy palec, krew nie ciekła, ale tłustość.

Z zasiedleniem stepów, często Czumacy zmuszeni są opłacać szkody zrobione wołami we zbożu na przydrożnych polach. Czumak jeden taki opowiadał wypadek. „We wsi Jurkówce, złapał obywatel czumackie woły w zbożu.—Co mi z was wziąć? mówi. Wołów nie wezmę, bo z nich wasz zarobek. Lecz żebyście pamiętali że cudzego zboża psuć nie należy, tak osądzę: Jak się zowiesz?—Tychon.—A ty?—Josyp.—No Tychonie, weź tego oto kija i daj pamiętnego Josypowi. Myślałem, powiadał Czumak, że Josypa wytataruje, i na tém się skończy, więc takąm mu sprawił łaźnię, że ten aż podskakiwał.—No, dość już. Teraz ty Josypie weź kija i oddaj Tychonowi, żeby i on pamiętał. Prawda, że za mocno dałem się we znaki towarzyszowi, więc jak on dorwał się do kija, to mi tak obłatał boki, żem aż prosić się zaczął. Wtedy rozśmiał się obywatel i dał nam po kieliszku gorzałki. Dobry to panek był i my późniéj zawsze wstępowaliśmy do niego. A on nas pyta: „a co, nie robicie już szkody w zbożu?"

Razu jednego dwaj Czumacy w podróży jechali na jednym wozie. Jeden z nich, leżąc wznak, zapatrzył się na niebo i pyta towarzysza:—Jak ci się zdaje przyjacielu, ile wiorst będzie do nieba? Zapytany podniósł oczy, otworzył gębę i pomyślawszy nieco, rzekł:—Będzie wiorst ze siedm.—Głupiś, odrzekł mu tamten, otóż powiem ci że niéma i siedmiu. Żeby było siedm, toby na drodze choć jednę postawiono karczmę.

Jeden Czumak, Mykoła Syzeń z pod Olszany w gubernii charkowskiéj, poszedł w drogę na Don z 50 par wołów. Zazimował tam i w oczekiwaniu wiosny, gdzieś na linii, nieopodal rzeki Białéj, zahulał się i wszystkie przepił.

Uczciwość ich jest niekiedy zdumiewającą. Jeden obywatel, podczas nieurodzajnego roku, wybrał kilku ze wsi wieśniaków, dał im woły i wozy i posłał po sól do Krymu. Powrócili wszyscy prócz jednego. Gdzie Pawło? zapytał.—Przepadł bez wieści—wszyscy byli tego przekonania że skradł woły.—Alić we dwa lata powraca Pawło, ale bez wołów. Pyta go obywatel gdzie był? Pawło nic nie odpowiada, ale z kieszeni wyciąga paczkę assygnat i kładzie je na stole.—Zkąd je wziąłeś? możeś ukradł? — pyta zdziwiony. — Ale gdzieżtam! Przeliczcie no je! Liczy i znajduje półtora tysiąca z górą rsr. Okazało się że zarobił to wszystko, wynajmując się pod skarbowe obozy. Obywatel chciał mu dać część zarobku, lecz Pawło nie przyjął i prosił tylko żeby mu pozwolono było z żoną odbyć pielgrzymkę do kijowskiéj pieczarskiéj Ławry, bo grzech zaciągnął na duszę. Napadł go był w drodze *trojecznik*, to jest furman rossyjski. Kiedy się z nim szamotał, więc, ile przypomina, za mocno połoskotał mu żebro, aż chrusnęło... a potém wziął jego kija i połamał mu nim ręce i nogi, żeby odtąd nie obdzierał dobrych ludzi. Ale nie ubił go, powiada, na śmierć.

Według dawnego zwyczaju, Czumacy bogatsi zakopują piéniądze i chętniéj trzymają je w monecie jak w papiérach. Znam jednego, który zawinąwszy assygnaty w papiér, chował je pod strzechą, gdzie myszy zjadły mu kilka tysięcy rubli. Inny stracił tyleż na starych, assygnatach nie zamieniwszy ich na nowe według ukazu w terminie przepisanym, gdyż o takim ukazie ani słyszał.

Hojni są w wynagrodzeniach. Mój jeden znajomy, powiatowy lekarz, opowiadał mi niedawno, iż Czumak jeden z Subotowa płacił mu za wizytę każdą 50 rsr. i odsyłał go rozstawnemi końmi.

Zapewne że na Ukrainie, gdzie obszary kraju są mało zasiedlone a ogromne, gdzie dróg szossowych nie mamy jeszcze, a żelaznych będzie jedna lub dwie tylko za lat kilkanaście, długo jeszcze Czumacy potrzebni będą na posługę rozwijającemu się przemysłowi, lecz stracą typowe swe cechy. Dlatego dajemy wam rysunek Czumaka i ten pobieżny o nim opis, dodając iż Czumaka z jego mażą przerysował z natury p. Przyszychowski we wsi Bałandynie (powiecie czehryńskim), a powyższe szczegóły o życiu i obyczajach téj klassy, zaczerpnęliśmy z artykułu Małorusina p. Danilewskiego i notat własnych.

Drugi rysunek przedstawia *Wnętrze świetlicy ukraińskiéj*. Azeby zostać wiernym prawdzie, artysta zdjął go z natury, wybrawszy do tego chatę Tytora we wsi Bałandynie, jako człowieka który zwykle odznacza się we wsi ukraińskiéj, ładem i zamożnością. Architektura chaty ukraińskiéj, jakkolwiek jest prostą i nie nastręcza żadnych estetycznych kształtów, ma jednakże charakter i wyraz. Gdzieindziéj powiemy o zewnętrznéj formie, teraz poprzestaniem na opisaniu wnętrza. Wejście do świetlicy zwykle jest w sieni. U progu widzimy piec czysto ukraińskiéj architektury, zrobiony z gliny i chróstu, z małą bardzo ilością cegły. Po drugiéj stronie drzwi znajduje się przytwierdzona do ściany szafka, służąca do składania talerzy, garnków i misek. Węgieł przeciwległy, pomiędzy oknami, zowié się *pokutjem* i jest poczestném miejscem. Otacza go ława, przed ławą stoi stół nakryty obrusem, a ściana pokryta kawałkiem szpaleru prostego i obrazami świętych. Daléj, w drugim kącie świetlicy, od ściany do pieca, zwykle położone są deski służące za łoże, a u góry zawieszona żerdź, na któréj rozwieszone są poduszki, ręczniki, obrusy i rozmaita odzież. Belka główna, idąca środkiem sufitu przez chatę, ma równie niepoślednie znaczenie w budowie i zowie się *swołok*. Na niéj w starych ukraińskich chatach rzeźbiono rok założenia domu, a niekiedy i sentencye z Pisma św. Zwykle nie bielą jéj, ztąd zowié się ona: *myty swołok*. Przy piecu i na przypiecku widzimy garnki, *rohacz*, *kociubę*, *wienik;* obok obrazów zawieszone krzyże i wianki plecione ze zboża, wierzba święcona, buteleczka z wodą poczajowską, wielkanocne jaja i rozmaite zioła służące na lekarstwa. Na żerdzi i nad belką, a także przy piecu, kładą zwykle talki z przędziwem, zawieszają ręczniki, kłębki wału, u dołu na ziemi lub na ławie stawiają kufry malowane, napełnione bielizną i dzieżę w któréj chléb mieszą.

Trzeci rysunek przedstawia *atamana*, czyli *assaułę*, jacy są w wioskach ukraińskich. Niegdyś, jak wiadomo, na Zaporożu i na Ukrainie był to stopień wojskowy, a i do dziś dnia jest takim u Kozaków dońskich. Lecz z przeobrażeniem Ukrainy z wojskowéj organizacyi w gospodarską, tytuł ten nadano ludziom wyznaczanym przez obywateli dla *wypędzania* wieśniaków na pańszczyznę i pilnowania robót w polu. *Iwan Sławnyj*, którego widzim na załączonéj rycinie, nie daje jeszcze istotnego pojęcia assauły. Mamy typy daleko bardziéj charakterystyczne. Są to zwykle chłopi silni, barczyści, wąsale, ślepi wykonawcy woli pana i częstokrać oddani mu duszą i ciałem. Przestrzegając porządku i rygoru, są oni przedmiotem bojaźni u wieśniaków i często niecierpiani przez nich, a co dziwniejsza iż tam gdzie fawor pański oddał im w ręce władzę batoga, odznaczają się nieubłaganą srogością i wieśniacy obawiają się ich bardziéj niż panów. Pogardliwie lud ich nazywa *siepakami*, lecz tenże tytuł daje setnikom i dziesiętnikom, wyobrażającym władzę policyjną we wsi.

Kobiéty z okolic Trypola pod Kijowem. Ubiór ich

(na rysunku zimowy) różni się cokolwiek od ukraińskiego, a zbliża do mieszczan kijowskich.

Żyd kolonista z chersońskich stepów. Oryginalna ta postać, zgarbiona, obdarta, z kramikiem drobiazgów na plecach, znaną jest wyłącznie na Ukrainie. Są to po większéj części Żydzi przesiedleni ukazem z Litwy i Białéj Rusi na chersońskie stepy, gdzie liczą kilkanaście podobnych osad. Celem rządu było zmuszenie ich do zajęcia się rolnictwem i hodowlą bydła i w tym celu dano im tu obszerne grunta, zbudowano chaty i udarowano każdą familią kilkudziesięcią rublami na założenie gospodarstwa. Nadto uwolniono ich od podatków i rekruta. Lecz wszystkie te zachęty i prerogatywy nie wywarły pożądanego skutku. Żydzi w żaden sposób nie chcieli i nie umieli oddać się gospodarstwu, a natomiast rozpoczęli handel końmi i kramarskiemi drobiazgami. Więc wałęsają się po okolicznych jarmarkach i chodzą z kramikami od wioski do wioski. Rząd wszakże zmusza ich do zajmowania się gospodarstwem. Żeby uczynić zadość literze prawa, każdy z nich zaopatrzony jest w narzędzia rolnicze i przy rewizyi pokazuje je urzędnikowi, a potém znowu składa do komory, w oczekiwaniu rewizyi następnéj. Grunta żaś wynajmują okolicznym wieśniakom, do uprawy roli i żniwa. Kolonie te są opuszczone, brudne, ubogie, i stanowią przeciwieństwo z koloniami menonistów niemieckich, odznaczającemi się rządnością i bogactwem.

BYŁY KLASZTOR CYSTERSÓW W LUBIĄŻU (LEUBUS)
W SZLĄSKU PRUSKIM.

Kaźmirz I, Mnichem zwany, po powrocie z Francyi, gdzie podług wieści bawił u benedyktynów kluniackich, założył klasztor w Lubiążu, niedaleko Wrocławia nad Odrą leżącym, obsadzając go braciszkami wspomnionego dopiéro zakonu. Jeśli można uwierzyć kronikarzom ówczesnym, zakonnicy z Francyi przyprowadzeni nie żyli tak przykładnie, jakby się było należało; dlatego Bolesław I, Wysokim zwany, piérwszy samowładny książę, szląski znany ze słabości dla Niemców, których zaprosił do kraju swego i gdzie tylko było można przenosił nad krajowców, przywołał cystersów z klasztoru Pforty, niedaleko Naumburga nad Salą, oddając im za pozwoleniem biskupa wrocławskiego gmach, który w r. 1178 odbudował z kamienia (gdyż stary bardzo był lichy) i obdarzając ich zarazem nowym listem fundacyjnym, w którym przykazuje: że wszyscy Niemcy przez opata przyjęci, uwolnieni być mają od wszelkiego rodzaju podatków, jakie krajowcy, to jest Polacy, winni płacić. Klasztor, nadzwyczaj bogaty w fundacye, (należało bowiem do niego 60 wsi i kilka folwarków) do czasu sekularyzacyi w r. 1810 miał 52 opatów, z których piérwszy, Florentyn, przybywszy z Saksonii, sławne po całym świecie jabłka bórsztówki zaszczepił i rozpowszechnił w Szląsku. Mnisi w nieprzerwanym pokoju Boga chwalili w Lubiążu aż do r. 1432; wtedy bandy hussyckie wypędziły ich i splondrowały cały gmach. W r. 1644 Szwedzi poszli za przykładem piérwszych napastników, a w r. 1810 rząd pruski, jak już wspomnieliśmy, zabrał gmach klasztorny na użytek świecki.

Obejrzmy teraz miejscowość.

Most murowany, oddzielający wieś i folwark od klasztoru, prowadzi przez dużą bramę z ciosowego kamienia na wielki plac, otoczony pyszną aleją z dzikich kasztanów. Na placu tym wznosi się gmach klasztorny, odznaczający się i olbrzymim rozmiarem, i przepychem architektonicznym, a składający się z dwóch skrzydeł, połączonych w środku kościołem zaopatrzonym dwiema wieżami. Front, stanowiący zachodnią część gmachu, ma 710 stóp długości, północny zaś, niegdyś do prałatów należący, rozciąga się na 380 stóp. W książęcéj kaplicy kościoła spoczywa wyżéj wspomniony Bolesław 1, którego nagrobek, składający się z wielkiéj tablicy bronzowéj, w piaskowiec biały wpuszczonéj, pokazuje w stroju rycerskim z koroną na głowie, z lewą ręką wyciągniętą ku tarczy, na któréj widać orła szląskiego. Oprócz innych jeszcze książąt z rodu Piastów, tudzież prałatów, leży w tym kościele Wilmans, znakomity malarz, w Lubiążu urodzony, który sztuką swoją wielce przyczynił się do ozdobienia świątyni Pańskiéj.

Przy samym końcu północnego frontu budynku, znajduje się tak zwana *sala książąt*, mająca 90 stóp długości, 45 szérokości, a 42 wysokości. Sala ta, żywo przypominająca aulę uniwersytecką w Wrocławiu, uderza pięknością proporcyj architektonicznych; obrazy jednak po ścianach powprawiane, posągi i gruppy gipsowe, sufit i inne ozdoby, pod względem sztuki żadnéj nie mają wartości.

W r. 1828 król pruski Fryderyk Wilhelm III stanom prowincyonalnym przekazał gmach klasztorny, dla urządzenia w nim zakładu obłąkanych. Kierunek tego zakładu powierzono doktorowi Martiniemu, który odbywszy kurs nauk w sławnym Königsteinie w Szwajcaryi saskiéj, a zwidziwszy następnie kosztem rządu celniejsze instytuta tego rodzaju, otworzył nowy zakład w r. 1830. Posiada on fundusz na utrzymywanie stu obłąkanych z prowincyi szląskiéj pochodzących.

Oprócz tego istnieje w Lubiążu jeszcze drugi, prywatny dom obłąkanych, znajdujący się w części budynku po lewéj stronie kościoła położonéj, gmachem prałackim zwanéj. Przyjmują tam za opłatą chorych z kraju i z zagranicy, między któremi nietrudno spotkać i Polaków. Od czasu otworzenia obu zakładów, do końca r. 1843, przyjęto około 1200 osób cierpiących na umyśle, z których wyleczono zupełnie połowę blizko. Instytut w Lubiążu jest dziś jednym z piérwszych, w których godni pożałowania obłąkani znajdują ulgę w swych cierpieniach, a p. Martini, na jego czele stojący, powszechnie i słusznie ceniony jest jako lekarz i jako człowiek. Nic dziwnego więc, że z najodleglejszych stron, bo z Ameryki nawet, uciekają się do niego.

Naprzeciwko gmachu klasztornego wznosi się kościół św. Jakuba, od r. 1836 ewangelikom oddany. Północną stronę placu otaczają budynki, w których umieszczono urząd leśniczy, sąd gminny i szkołę, wraz z ogrodami do nich należącemi.

Załączony tu drzeworyt pokazuje nam dwa boki gmachu klasztornego, opasane nurtami Odry, w oddaleniu zaś górę 2246 stóp wysoką, przez Rzymian *Mons Silenus*, przez Niemców *Zobtenberg*, przez Słowian *Sobótką* zwaną, a poczytywaną za miejsce, gdzie w pewnym czasie palono ogień święty (*). W roku 1103 stérczał na téj wysokości zamek, który Bolesław III w lenno dał Piotrowi Wlastowi, zwanemu także z posiadłości swych Piotrem ze Skrzynna albo Książkim. Był to mąż słynny zarówno z bogactw swych, jak z dzielności w boju i w radzie, zostający w wielkich łaskach u Bolesława, który mu poruczył piastowanie najwyższych urzędów. Wlast niepospolicie zasłużył się księciu swemu i krajowi polskiemu; powszechny przeto był żal, gdy dowiedziano się, że nienawistny mu książę Władysław II wyłupić mu kazał oczy. Za rozkazem Wlasta w r. 1108 wybudowano na górze klasztor, do którego wprowadzili się augustyanie z Arras flandryjskiego. Niedługo jednak zakonnicy w nim gościli; z powodu bowiem zbyt ostrego dla nich klimatu, przenieśli się do Gorkowa i do Wrocławia. Zamek w średnich wiekach najezdnikom służył za kryjówkę, aż w r. 1471 zburzyli go mieszkańcy miast Świdnicy i Wrocławia.

(*) Osobny opis i rysunek téj góry, na późniéj czytelnikom naszym przyrzekamy. (Przyp. red.)

OBRAZY WIELKOPOLSKIE
Przez **F. S.**

VI.

U nas inaczéj, inaczéj, inaczéj!
J. B. Zaleski.

W środku ziemi wielkopolskiéj, nad nurtami modréj Warty, osiadł gród Przemysławów. Dwanaście wieżyc, niby dwanaście gwiazd nad przeczystą skronią niepokalanéj Dziewicy, niby dwanaście wieków minionéj grodu chwały i potęgi, wzniosło się w górę ku niebu. A wewnątrz miasta, jak w zamkniętym grobowcu, cisza panuje, jak w ściśniętéj pancerzem piersi ciężkie westchnienie ulata. Czasami tylko głośniejsza pieśń do Bogarodzicy rozpruje warstwy powietrzne, lub dzwon katedralny, jakby zbudzony ową pieśnią archanielską, odezwie się z piersi spiżowéj sercowym hymnem na wiatry. Kiedy niekiedy na zygmuntowskiéj strażnicy trzechwiekowy zegar jęknie, jakby z żalu po stracie ubiegłéj chwili, jakby dla przestrogi. A zresztą cicho i gołkł baron, i nęta, co dawniéj tak rzutnie i butnie groziła murom poznańskim, teraz pokorna, z tłumionym, smutnym poszeptem odbywa swą drogę. Nawet odwieczny król ptaków, ów strażnik lechickiego gniazda, okopcony burzami czasu, jakby zapomniał o locie, jakby się nad czémś zadumał, wzniósł tylko skrzydła ku niebu, niby w modlitwie za grodem, i zawisł spokojnie w obłokach.

Po obu stronach Warty rozciągnęły się ulice, wspaniałe budowle zaległy puste dawniéj place, stare omszałe gmachy w nowoczesne przybrały się szaty, a stare niektóre świątynie na kramarski przeszły użytek. Wszystko tam od lat czterdziestu zupełnie inną przybrało postać: gród w silną twierdzę przerobiono, przekształcono dawny krój ulic, zniesiono wiele zabytków; zgoła Poznań, owa bajeczna osada trzech słowiańskich braci, którzy po długich latach rozłączenia tu się zeszli i poznali, dziś wcale inny ma pozór. W społecznem życiu mieszkańców zmieniły się obyczaje, towarzyska jedność rozstrzeliła się na różne odcienie, a nad miastem jakaś duszna wieje atmosfera.

Ale mimo tylu zmian w zewnętrznéj i wewnętrznéj postaci miasta, mimo tylu moralnych przeszkód, które zwykle na charakter ludzki zgubne wywierają wpływy, mimo mięszaniny zdań i wyobrażeń, utrzymała się tam w piérwotnéj czystości wiara przodków, wygórował nadewszystko polski język, a pieśni i podania ludu, różnolitém tłem ubarwione, łączą się przed ołtarzem ojczystym, jakby w jednę modlitwę dla przebłagania gniewu Boskiego. Bo téż nad owém wiekopomném gniazdem piérwszych Lechitów, ileż to klęsk i nieszczęść przeszło w różnych czasach! To wojenne burze wstrząsały miasta murami; to morowa zaraza całunem śmierci pokrywała ulice; to straszliwa powódź zalewała domy i mienie strapionych mieszkańców; to nareszcie gwałtowny pożar szerzył dotkliwe zniszczenie.

I dziś, choć z biegiem czasu i zmianą stosunków miejscowych ustały klęski, pozostała jednak żywa pamięć tych nieszczęść w podaniach, pozostały nawet ślady na murach świątyń i domów, z których mieszkaniec Poznania uczy się kroniki swego miasta. Każdy téż zakątek Poznania, każdy nieomal budynek nosi na sobie owo piętno nie samych już tylko klęsk, nie samych przykrych wspomnień, ale i innych wydarzeń, owę żywą historyą przeszłości, ku pamiątce przekazanéj.

Zaledwie od strony wschodniéj zbliżysz się do murów miasta, zaraz na wstępie, oddzielony szańcami i fossami od reszty Bożych przybytków, powita cię wodą święconą starożytny kościołek św. Jana. Świątynia ta, jak twierdzą badacze, powstała na gruzach bóżnicy pogańskiéj. I staniesz tuż obok niéj nad szepcącym ci o przeszłości zdrojem, i wsłuchasz się w jego żałośne skargi, a łzy ci pocieką tak czyste i rzewne, jak owa odwieczna krynica, którą przedchrześciańskie czciły pokolenia.

Mijasz wreszcie bramę i starożytne przedmieście Ostrówek, (zkąd, według przypuszczenia E. Kierskiego, cesarz Otton pieszą do Gniezna przedsięwziął pielgrzymkę), a przeszedłszy rzeczkę Cybinę, stajesz we wspaniałéj katedrze poznańskiéj i korzysz czoło przed grobowcem Mieczysława i Bolesława.

I znów, zaledwie kilka postąpisz kroków, marząc o tych pięknościach i skarbach, które ci się w katedrze nawinęły przed oczy, spotykasz się z tysiącletnim staruszkiem, z kościołkiem Panny Maryi; a on odsłania ci wszystkie blizny swojego ciała i wskazuje wiekami poorane czoło, jakby błagając twego współczucia. Tyle on już pokoleń pochował, tyle tryumfów w *Te Deum laudamus* przesłał przed tron Najwyższego, nad tylu klęskami swych dziatek, jak czuła matka, płakał w *supplikacyach!*

Kościołek ten Panny Maryi, zbudowany za Mieczysława I, należy do najdroższych pamiątek starożytności, w które Poznań szczególniéj obfituje. Oparł on się burzom czasu, a mimo wieku i ścian popękanych, nie tak prędko jeszcze ulegnie ruinie. Na ciosowych jego fundamentach znać różne rysy i wgłębienia, o których dzieci nawet powtarzają, że tu waleczni obrońcy oblężonego Poznania, gotując się do wycieczki, ostrzyli swoje piki, halabardy i miecze. Utwierdzają w tém mniemaniu liczne kartaczowe wyciski na murze świątyni wyżłobione. Być może iż te znaki z innych powstały przyczyn: któż jednak po-

[illegible]eczyć zechce,—zwłaszcza gdy one tak prawdopodobnie malują stan rzeczy?

Idąc daléj ku właściwemu jądru miasta i mijając długie Chwaliszewo, wstępujesz najprzód na most drewniany. Na środku jego wyciąga ku tobie ramiona krzyż wyniosły, a pod krzyżem siwobrody starzec prawi ci o nim świętą legendę:

„Ryczały wody, rwały bałwany i całe miasto w głębi tonęło, kiedy wtém Chrystus od Jasnéj góry przypłynął z wodą, miasto ocalił i ku wieczystéj pamięci stanął ot sobie na moście.“

I zaiste, straszna to musiała być klęska, bo gwałtowne prądy powodzi, sięgającéj wysokością do piérwszego piętra domów, jak świadczy napis na kościele dominikańskim, burzyły mury, wyrywały drzewa z korzeniami i unosiły z sobą mienie zrospaczonych grodu mieszkańców.

Lecz nie sama tylko powódź i wojenne szturmy pozostawiły po sobie ślady; oto nagle oko twe zatrzymuje się na gorejącéj przed oknem drugiego piętra lampce, a w oknie obrała sobie mieszkanie, niby domek loretański, przeczysta Matka Dziewica.

„Straszliwy w około, mówi podanie, szerzył się pożar; odwieczne mury sypały się w gruzy; jeden tylko dom, gdzie zamieszkała Bogarodzica, został nietknięty płomieniem. Morowa zaraza kładła trupy po ulicach, zaglądała do wszystkich domów, a mieszkańcy, nad któremi czuwała Przenajświętsza Panienka, spali sobie spokojnie snem słodkim.“

Na rynku ujrzysz daszek przed frontem domu, nad korzennym sklepem; a daszek to tradycyjny, któremu, według podania, winien życie dumny najeźdzca kraju, mocarz Skandynawii. Wieść niesie, że rozmarzony trunkiem, wypadł z okna i na owym daszku się zatrzymał. I tak wszędzie, gdzie stąpisz nogą, powitają cię pamiątki, objaśnią o nich proste słowa ludu, które za kronikę miejską ci starczą.

Ale pomijając wiele innych podań, jak owę uroczą dumę o Ludgardzie, którą Karpiński ujął w rym z ust ludu poznańskiego; lub wreszcie owę straszliwą powieść o górze poznańskiéj, którą Morawski tak poetycznie opisał w balladzie: przenieśmy się do piwnic kościołka Pana Jezusa, by tam posłuchać cudownéj o męce Pańskiéj legendy.

Działo się to za panowania Władysława Jagiełły. W Poznaniu pewna sekta, chcąc się przekonać, czy rzeczywiście w sakramencie pod postacią chleba utajone jest żywe ciało Chrystusa Pana, przekupuje dziewczynę, aby jakimbądź sposobem dostawiła kilka hostyj. Dziewczyna zakrada się na noc do kościoła dominikańskiego, zbliża się do ołtarza i świętokradzką rękę wyciąga ku zamkniętemu cyboryum. Moc Boska potrzykroć ją wstrzymuje; ale w końcu zdrajczyni dobywa puszki, znajduje w niéj trzy tylko hostye i te z rannym brzaskiem wynosi. Sektarze z tryumfem niewiary przyjmują hostye, a bojąc się ludzkiego oka, uchodzą z niemi do piwnic. Na dane hasło przez najstarszego wiekiem, podnoszą się w górę trzy noże i topią w ciele utajonego Chrystusa. Krew trysła z hostyj strumieniem, zbroczyła ściany piwniczne, a niewierni struchleli na te widoczne znaki wcielenia Bożego. Z obawy aby zbrodnia ich nie wydała się przed światem, zagrzebują w piwnicy poranione hostye. Ale te z ziemi podlatują w górę; jasność niebieska wieńczy je w koło, a chóry aniołów uroczą harmonią głoszą: *hosanna!* Osłupieni zdrajcy, za poradą starszego, zawijają hostye w szmaty i wynoszą za miasto, by tam je utopić w kałuży; lecz i ztąd ulatują w górę i okolone jasnością, unoszą się nad bagnami. Pasące się w pobliżu bydło klęka na trawie, oddając hołd Najwyższemu. Sędziwy pasterz dostrzega cudu, daje znać księżom, a ci z liczną processyą wychodzą za miasto. Po odprawieniu modlitw nadstawili księża patery i kielichy, i hostye do jednego z nich spuściły się zwolna. Odniesiono je z tryumfem do kościoła farnego i tam w osobnéj złożono puszce. Ale hostye po raz trzeci ulatują na łąki, na znak że tam dla nich ma być wystawiony przybytek. Dowiaduje się o tém król Jagiełło, przybywa z Jadwigą do Poznania, surowo karze zbrodniarzy, a na łąkach funduje wspaniały kościół, pod wezwaniem Bożego Ciała.

Hostye te dotąd w kosztownéj przechowują się monstrancyi, i według podania ciągle się mają pomniejszać, a gdy znikną zupełnie, wtenczas nastąpi koniec świata. Lecz i nad ową piwnicą, w któréj zbrodnię popełniono, wzniósł się kościołek Pana Jezusa, a woda, która z dołu, gdzie były zagrzebane trzy święte hostye, wytrysła, do dziś dnia cudownem w chorobach bywa lekarstwem.

Taka jest w krótkości osnowa cudownego podania. Dziwna przecież rzecz, że oprócz ks. Kowalskiego, który prostą tylko treść jego zostawił w broszurze, nikt jeszcze dotąd z badaczów nie wyjaśnił bliżéj tak ważnego przedmiotu. Jakaż to obfita skarbnica dla malarza, dla poety! Znajdują się wprawdzie w obydwóch kościołach, tak Bożego Ciała, jak i Pana Jezusa, liczne o tém opisy i obrazy, przedstawiające czyn dokonany, ale to niedosyć. Teraźniejszość żąda krytyki, z któréjby wypływała prawda historyczna.

Nic zatém dziwnego, że po tylu cudownych przygodach, po tylu ważnych dla Poznania wypadkach, przechowały się tam wszystkie wrażenia w pamięci pokoleń, utrzymały się, mimo napływowéj ludności, rodzinne podania, a wiara ojców coraz to jaśniejszą zapala się pochodnią i świeci przykładem innym wyznaniom. Tysiące pielgrzymów ze wszystkich Wielkopolski okolic, a nawet z górnego Szląska, zgromadza się tu corocznie na odpusty. Bo chociaż uroczystość Bożego Ciała w całym chrześciańskim obchodzi się świecie, jednak żaden kraj, żadne miasto nie występuje wtedy z takim przepychem i okazałością. Na processyach po starym rynku, w około zygmuntowskiego ratusza, a mianowicie w czasie processyi z kościoła farnego do kościoła Bożego Ciała i napowrót, na pamiątkę przeprowadzenia owych trzech świętych hostyj, bywa zwykle do 20,000 wiernych wszystkich stanów. Jakiż to wspaniały i zachwycający widok! Ulice wysłane tatarakiem i kwiatami; wszystkie okna, bez różnicy wyznań, ustrojone w obrazy i bogate kobierce; a przed postępującym zwolna Chrystusem grzmią trąby i kotły, rozlegają się kilkojęzyczne pienia i chwała Pańska przebija obłoki, a Bóg Ojciec w imię Syna, i Bóg Syn w imię Ojca, błogosławią polskiéj ziemi.

Takim jest Poznań w czasie publiczno-religijnych uroczystości; a zresztą ponury, cichy i poważny,

(Ob. Dod.)

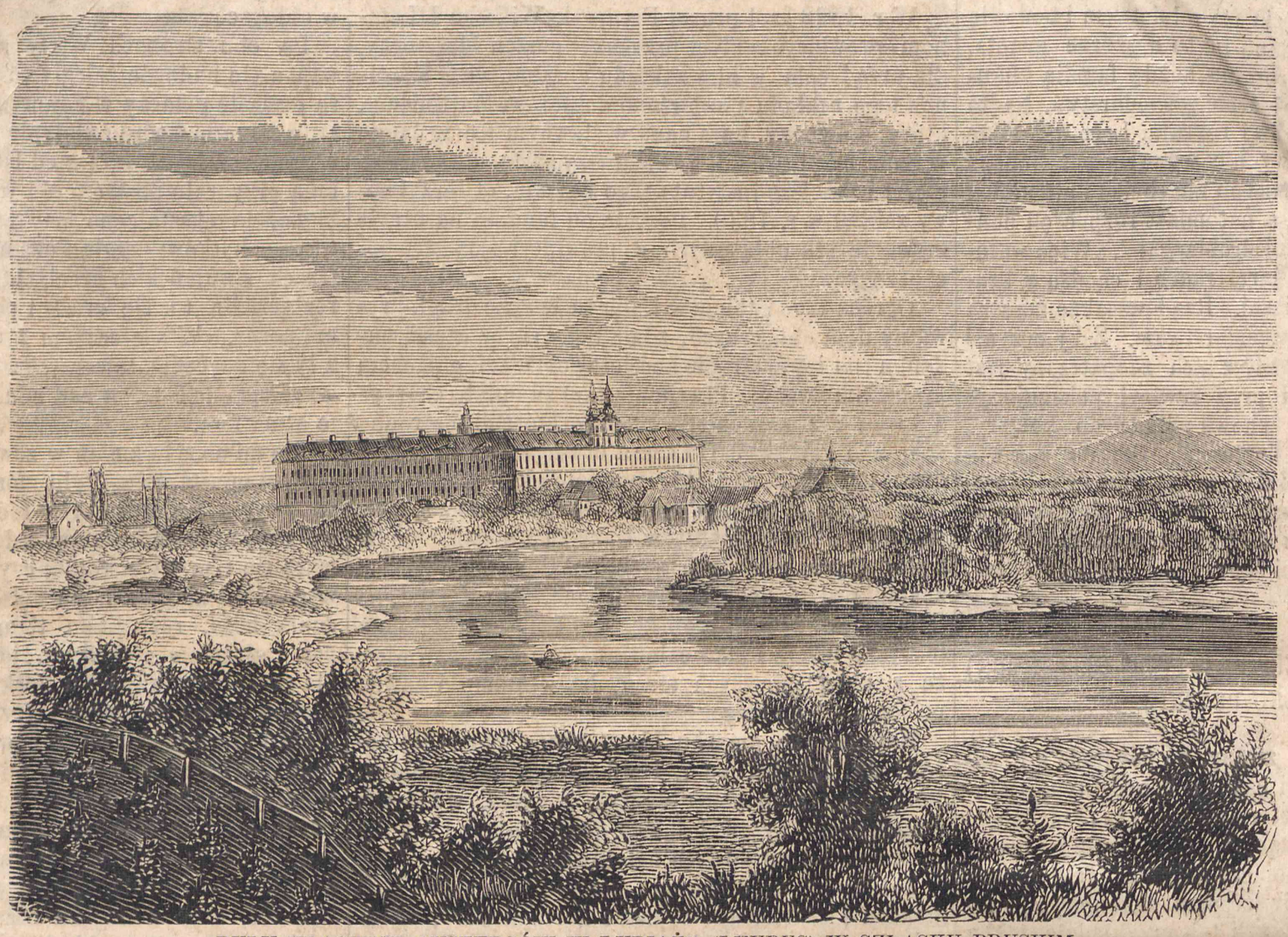

BYŁY KLASZTOR CYSTERSÓW W LUBIĄŻU (LEUBUS) W SZLĄSKU PRUSKIM.

SZACHY.

ZADANIE XLVI.

(Przez X. W. G. z Miechowskiego).

Białe zaczynają i dają mata za piątém posunięciem.

Czarne.

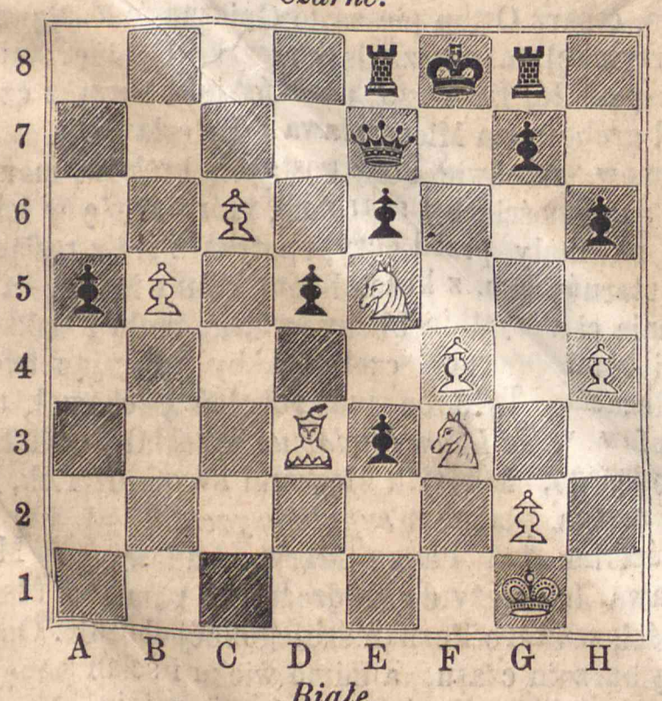

Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 45.

Białe.	*Czarne.*
1) H 4 — D 4† biorą. .	1) C 5 — D 4 biorą.
2) D 2 — E 3†. . . .	2) D 4 — E 3 biorą.
3) H 6 — F 5†. . . .	3) E 3 — E 2
4) D 1 — E 1 † i mat.	

REBUS.

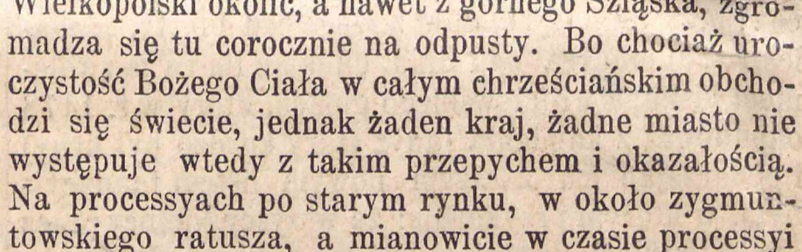

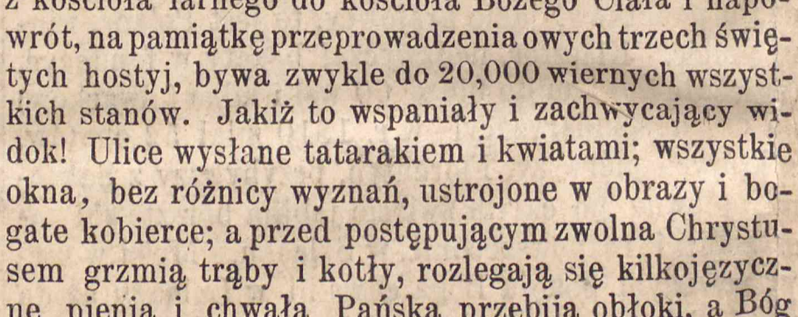

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 65.

Kto w rozmowach plecie koszałki opałki, ma niezawodnie kiełbie we łbie.

(Dodatek.)

jakby zadumany. Bo też ma on nad czém dumać! Tyle archeologicznych skarbów dostało mu się w spuściźnie, tyle krajowych znakomitości zostawiło tam po sobie ślady swych genialnych tworów i pomysłów! Poznańskie towarzystwo przyjaciół nauk, wydobywając je teraz z zastarzałych pleśni na jaw, nietylko wielką zamiłowanemu w krajowych pamiątkach ogółowi wyświadcza przysługę, ale nadto jedna sobie nieśmiertelną cześć i sławę, która z jego rocznikami w potomne przejdzie pokolenie.

Ale chcąc w tym ostatnim obrazku jeszcze raz odsłonić cały obszar Wielkopolski, chcąc chociaż słabym kolorytem odcieniować wszystkie wrażenia z rodzinnéj ziemi, opuśćmy Poznań, a pospieszmy daléj ku północy. Po drodze nasuwają się przed oczy murowane sioła, urodzajne łany, zamożne miasteczka; a lud wiejski i swobodny i dorodny, wita cię zwykłém „pochwalony“ i zaprasza za próg chaty. O! bo w ziemi wielkopolskiéj nadewszystko żyje gościnność piastowska!

Przybywamy do Rogoźna, owéj drugiéj stolicy Przemysława, położonéj wśród łąk, lasów i jezior. I zdaje nam się jakobyśmy w szumie wiatru słyszeli skargi i jęki Ludgardy, ścigające małżonka-tyrana, a potém jakby szczęk brandenburskiego oręża i okrutną śmierć księcia. Wszystko tam tak silném przejmuje umysł wrażeniem, powieści ludowe takim tchną smutkiem i żalem, że mimowoli przenosimy się w wiek cztérnasty, w ową epokę publicznych rozbojów, przypominamy sobie ohydne jéj wypadki i odwracamy oczy od tych bolesnych wspomnień rodzinnych.

I znowu spieszymy wyżéj ku północy, witając Żnin, Barcin, Nakło, Czarnków i t. d. A lud Pałucza prawi nam straszliwe dzieje o Leszku, jak od zdradliwych Pomorzan w łaźni został zabitym. Zwracamy się przez Krajno z powrotem nad Wartę, mijamy Sierakowszczyznę i nadbrandenburskie powiaty, które już po części zatraciły ślad przeszłości, i naraz przybywamy w czysto-polską jeszcze stronę, do historycznych Szamotuł. Lecz kiedy spojrzymy na zamek, z jakąż znowu boleścią wspomnimy Wincentego, nad którego świetną niegdyś posiadłością, jakby za karę zdrady, dziś obcy przewodzi!

To znowu, pchnięci siłą pary, przenosimy się w kilka godzin ku południowi, w ziemię kościańską, nad Obrę. Lecz i tu, mimo powiewu polskiéj atmosfery, mimo gościnnego przyjęcia i życzliwego słowa, stanie nam przed oczy owa straszliwa powieść o dwunastu rozbójnikach, którą Berwiński z takiém uplastycznieniem, z taką mocą żywych obrazów wyjął z ust ludu kościańskiego. I cóż dało ludowi powód do takiéj powieści? Oto najazdy, zemsta i zabory przeciwnych sobie rodzin w kraju, jakiemi byli Stadniccy i Opalińscy.

Pomijając okolice ku południowi położone, jak owo gniazdo Leszczyńskich, ową Rydzynę z pokutniczym zamkiem, przebywamy, dążąc na wschód, przecudną ziemię gostyńską, słynną legendami, gdzie lud Porzecza chlebem i solą nas wita i o doli swéj rozpowiada. Tam korzymy czoło przed cudownym obrazem Bogarodzicy; daléj podziwiamy jakby wiecznie żywą postać Przyjemskiego, spoczywającego pod kościołem w Koźminie; indziéj znowu Krotoszyn wspomnieniami o Śmigielskim zatrzyma nas chwilę. Aż nareszcie, po tylu doznanych wrażeniach, pospieszymy znowu ku północy, do źródła naszéj przeszłości, do owego gniazda orlego; a ztamtąd blizko już do Kruszwicy, ba! nawet słyszymy zdala przedwiekową pieśń kujawską:

Piaście, Piaście, kołodzieju!
Rządź nam krajem dobrodzieju!

I na tém zakończam szereg obrazów wielkopolskich! Lecz jeśli koniec ma uwieńczyć dzieło, to najmilszą dla mnie nagrodą będzie, gdy za przykładem moim pójdą inni, malując z większym talentem ze wszech stron dawnéj Polski podobne *obrazy*.

HRABIANKA DYNIA,

OBRAZEK.

Skreślił

Teod. Tom. Jeż.

(Dokończenie).

Wykonaniu złośliwego tego zamiaru przeszkodził Parfeni.

Hrabianka na siebie, na świat, na swoje obowiązki i powołanie, na grafa i barona inném popatrzyła okiem. Do tych ostatnich innym przemówiła językiem. Pozostała dla nich grzeczną, ale bez uśmiéchów i kokieteryi, i powoli, powoli, grzeczność jéj przybrała ten wyraz lodowy, co to mówi: „nudzisz mnie; nieznośny jesteś.“ Wyraz ten zarówno się do grafa i do barona stosował, ale bynajmniéj nie stosował się do kleryka, do „tego jakiegoś przybłędy,“ jak go baron nazywał. Dla niego były i uśmiéchy serdeczne i wyraźna ze strony hrabianki przychylność. Dla niego np. nie odpowiadała ona na francuzkie swoich konkurentów zaczepki, ale mówiła po polsku. Po polsku!... i o czém?!... na przykład: o pisarzach narodowych. Graf tego nie rozumiał; ale w baronie krew się *rewoltowała*.

Le comble (trzymam się tu dosłownie niektórych wyrażeń barona) z tego było to: gdy hrabianka dała grafowi do zrozumienia, że on jest cudzoziemcem, i to w najgorszym gatunku, i że jéj nie godzi się wiązać z nim jakiemikolwiek stosunkami, a nie dopiéro przyjaźnią, a tém mniéj innemi jakiemi, ściślejszemi więzami; gdy baronowi wręcz powiedziała, że zcudzoziemczał, że jest obrzydliwym, marnotrawnikiem wszystkich najdroższych darów bożych, że jeżeli może rehabilitować się, to jedynie pracą, nauką i poświęceniem; gdy wypowiedziała mu jego obowiązki, ukazała drogę do poświęceń:

— Kto pani o tych pięknych rzeczach powiedział? zapytał głęboko zirytowany baron z przekąsem.

Zirytował się, bo widział jak na dłoni, że w atmosferze tych pięknych rzeczy, jak mydlana bańka pękał jego projekt spółki małżeńskiéj. Graf pozostawiał mu jaką taką nadzieję; te piękne rzeczy żadnéj.

Na zapytanie jego hrabianka odpowiedziała zimno i pomału, jakby każdy wyraz chcąc wrazić w umysł barona:

— Powiedział ktoś taki, co więcéj wart i od pana i odemnie;... ktoś taki, komu ja za każdy wyraz chciałabym całém życiem odpłacić...

— *Que c'est sublime!...* zawołał baron. To powiedzenie pani możnaby illustrować...

I zaśmiał się suchym, urywanym śmiéchem.

— Więc to ten poetyczny teolog, pani *protegé*, tak panią oczarował!...

— Nie jest on moim protegowanym... odparła hrabianka sucho. On się sam proteguje i protegować potrafi...

— Muszę panią uprzedzić, że epoka abusiów minęła bezpowrotnie... pochwycił baron pół-seryo, *de ces petits abées, qui savaient aussi bien dire la messe, que tirer l'epée, et qui faisaient la cour aux jolies dames...* A także dobrze jest i o tém pamiętać, że abusie owi nie bywali nigdy przybłędami, ale się z najpiérwszych rodzin rekrutowali...

Hrabianka nic na to nie odpowiedziała. Pomyślała sobie tylko w téj chwili, jakąby to było niestosownością, brać Parfeniego na kapelana.

Niebezpieczeństwo zbliżyło do siebie dawnych rywali, a zbliżyło tém łatwiéj, że młody graf, ufny w swoje Weisenbergostwo, nie uważał barona za rywala *(un Weissenberg peut bien se moquer d'un baron Alfred)*, a baron, poznawszy cały ogrom niebezpieczeństwa, wiedział że potrzebuje dosadnéj jakiéjś pomocy do wysadzenia kleryka. W kimże mógł dosadniejszą znaleźć, jeżeli nie w młodym, zainteresowanym osobiście grafie?... .. A nadto, gdy się graf Weissenberg dowié, że ustępować musi, komu?... jakiemuś tam Parfeniemu Suchobrodzkiemu! to jaka z tego konkluzya? Oto taka, według przypuszczeń barona, że młody graf uczuje się obrażonym przez jakąś tam hrabiankę Wierzgalską, i nie zechce swego Weissenbergostwa z jakiémś tam Wierzgalstwem *mezaliować*. Otwierała się przeto możliwość dwie przeszkody za jednym zamachem usunąć, grafa odstręczyć i Parfeniego wysadzić. Pozostawało tylko do rozwiązania pytanie, jak się wziąć do tego dobrze i zręcznie?

Do rozwiązania tego pytania dopomógł baronowi sam graf. Kiedy bowiem nad niém myślał, ten ostatni zapytał go z nienacka:

— *Dites moi, cher baron*, co to za rewolucya zaszła pod dachem hrabiego?...

— Hm!... domyśliwszy się o co chodzi, odparł baron. Nie rozumiem zapytania...

— *Mais, la petite comte[illegible]* się raptem s[illegible] satką, moralistką, kwaśną[illegible] nudną...

— Dodaj jeszcze *lieber Graf*, rzekł baron, i niegrzeczną...

— To prawda!.. Chciałem to powiedzieć... Wyraz mi z ust wyjąłeś... Ale co to znaczy?..

— Co to znaczy?.. odrzekł baron i wydeklamował patetycznym głosem:

— Jest „ktoś komu ja za każdy wyraz chciałabym życiem całém zapłacić...“

— A to co?.. zapytał graf zdziwiony.

— Nic... odrzucił baron. Dosłowne powtórzenie wyrazów hrabianki...

— Cha cha cha!.. zaśmiał się graf, głosem takim, jakim śmieje się człowiek do żywego dotknięty, chcący jednakże udać, że go to nic nie obchodzi.

— *Le coup a porté*... pomyślał baron.

— Więc *la pauvrette* jest zajęta, rozkochana;... w kimże?...

— W tym, odpowiedział baron, dla kogo jest grzeczniejszą, jak dla ciebie, jak dla mnie, jak dla wszystkich...

— W kim?.. krzyknął młody graf, przerywając baronowi, a usta mu się zatrzęsły i na twarz lekka bladość wystąpiła. W tym mazgaju?.. w tym?... cha cha cha!.. Cóż to za jeden?..

— Nie wiem dobrze... odparł baron. Wiem że syn chłopski, ale zkąd? nie wiem...

— To te długie, nieskończone rozmowy miały swoję racyą... rzekł graf, jakby do siebie. O czém to oni rozmawiają?...

— Ah!.. *que sais-je!...* odrzekł zapytany, o rozmaitych ckliwo-poetycznych i głupio-moralnych *baliwernach...*

Graf począł chodzić po pokoju, milczał i wąsięta zagryzał. Po chwili, zatrzymując się raptem przed baronem, rzekł:

— Wiész co, *cher baron*, trzeba temu gapiowi jakiego figla spłatać...

— Hm!., odrzekł baron, robiąc głową i ramionami ruch taki, który oznacza przyzwolenie.

— O, już ja mu spłatam!.. powiedział graf z przyciskiem na „ja.“ Doprowadzę do tego, że go psami ztąd wyszczują!..

Baronowi ogromnie podobało się to odgrażanie się młodzika; zwietrzył bowiem awantury i skandal, które, pomyślał sobie, odsuną od hrabianki wszystkich, pozostawiając na placu tylko ją i jego.

Graf zaś tak dogadywał:

— Panna Fierszgalska popamięta Weissenberga!.. Ho, ho!.. Zawcześnie zaczęła... Należało odłożyć na późniéj, na tę długą poślubną epokę, w któréj żona z nudów kocha się, z nudów rogi mężowi przyprawia... Ale kochać się przed ślubem!.. *ca ne va pas!..*

Burza ta zbierała się nad bohatérem naszym w wigilią tego dnia, w którym on postanowił, bądź co bądź, widzieć się z hrabią i wracać do matki.

— Pani, mówił Parfeni do Dyni, siedząc obok niéj w ogrodzie, rano w tym samym dniu, w którym zamierzył rozstrzygnąć sprawę. Mnie tu dobrze, tak dobrze, jak nigdzie nie było i nigdzie nie będzie.... Ale na mnie czeka matka... Moja matka biedna.. Ona mię potrzebuje... Muszę wracać i wrócę, chociażbym się miał z panem hrabią nie widzieć...

Wymówioném to było tak stanowczo, że Dynia poznała, że już się dłużéj nie powiodą jéj fortele.

— To po śniadaniu, panie Parfeni, rzekła. Ja papę uprzedzę... Po śniadaniu będziesz się mógł z nim widzieć i rozmówić...

I rozpoczęli ze sobą rozmowę, któréj treść mało po mału zeszła na rozpamiętywanie wszystkich momentów, od chwili piérwszego ich spotkania.

— Jaka ja szczęśliwa, żem pana poznała!.. mówiła Dynia. A pan, panie Parfeni?.. i zajrzała mu w oczy.

— Ja? nie wiem... odrzekł Parfeni. Mnie teraz dobrze, ale czy tak potém będzie?...

— Wiész pan, jaka drobnostka nasze poznanie sprowadziła?... zapytała i sama odpowiedziała:

— Jedno małe nic, wierzgnięcie konia... Koń wierzgnął, papa się przeląkł, począł krzyczéć, konie się postraszyły, uniosły i... i... poznałam pana... Bez tego wierzgnięcia, byłabym sobie Dynią-sroką, a po niejakimś czasie może Weissenberg-papugą...

— Bez tego wierzgnięcia, pani, miałbym dziś ojca... zauważył Parfeni i westchnął.

— Ach! prawda... To co dla mnie zbawieniem się

...ną krzywdę wyrządziło... Dla... go Opatrzność pozwo... panu być mego zbawienia narzędziem i włożyła na mnie obowiązek być panu wdzięczną... wdzięczną... ach! wdzięczną...

Takim tonem mówiła, że w tym ostatnim wyrazie czuć było więcéj jak wdzięczność. Tego jednakże „więcéj" nie wypowiadała. Dlaczego? Ot, nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie, nie miała odwagi, nie składało się jéj, obawiała się odstręczyć Parfeniego. Więc spuściła się na to, że dwa jeszcze lata oddzielają go od przywdziania sukienki kapłańskiéj, i od tych dwóch lat spodziewała się pomocy. A tymczasem wymogła na nim i umówiła się, że na przyszłe wakacye na cały czas przyjedzie do Hyłek, że się z nią będzie widział we Lwowie, że ją zaprowadzi do Wilda i pomoże jéj w zakupieniu dzieł polskich, że będzie o niéj pamiętał i uważał ją jako siostrę, i mówiła z nim dużo i długo, aż do śniadania.

Był w Hyłkach zwyczaj, że na śniadanie wszyscy domownicy do stołu hrabiego przypuszczani i goście razem się schodzili. Takiemi domownikami byli tylko hrabia i hrabianka, za gości zaś uważały się same dystyngowane osoby, lub téż takie, które hrabia ugłaskiwał, dla utrzymania jakiéj takiéj pomiędzy szlachtą popularności. Przywiléj ugłaskiwania posiadała i hrabianka. Ona téż, rozumié się, użyła go względem Parfeniego, zrobiła go gościem i obok siebie posadziła, dla pokazania niejako, że on jest jéj gościem.

Przy śniadaniu, ostatniém w Hyłkach dla naszego bohatéra, siedzieli: hrabianka, Parfeni, graf i baron.

Graf i baron spoglądali z pomrugiwaniem na siebie i z uśmiéchami dwuznacznemi to na Parfeniego, to na hrabiankę, i mało mówili. Parfeni nie odzywał się. Hrabianka była zamyśloną.

Przy końcu śniadania ta ostatnia, jakby sobie coś raptem przypomniała:

— A! wszak to pan masz interes do papy... rzekła. Chodźmy...

I poprzedzając Parfeniego, wyszła.

Graf i baron, powoli, rozmawiając ze sobą i śmiejąc się, przeszli do bawialnego pokoju.

Parfeni udał się do hrabiego, odprowadzony do samych drzwi jego apartamentu przez Dynię, która powróciła do swoich pokojów, dla zajęcia się, jak zwyczaj kazał, pośniadaniową toaletą.

Hrabia siedział na wygodnym, miękkim fotelu, obwiązany tu i owdzie na ciele i głowie cieniutkiemi batystowemi bandażami, obok stolika zastawionego buteleczkami i słoikami. Po bandażach tych i słoikach można było poznać że się leczy, po nim zaś znać bynajmniéj nie było, aby był chory. Zadrapania i szramy pobliźniły się, sińce i guzy pogoiły. Leczył się, jak powiadał, na wstrząśnienie.

Gdy Parfeni wszedł, hrabia go poznał od razu.

— Widzisz asan... bolejącym rzekł głosem, w jakim to ja stanie... Przez miesiąc cały ruszyć się nie mogłem... Cóż asan masz za interes?...

— Proszę Pana hrabiego dobrodzieja... odparł Parfeni, dobywając papiér z zanadrza, oto jest urzędowy wykaz szkody, jaką ponieśliśmy pod Nadwórną...

Hrabia wziął papiér, naburmusił się, odwalił wargi, przebiegł wykaz oczami, i oddając go Parfeniemu zapytał:

— Cóż wasan chcesz abym z tém robił?..

— Moja matka pozostała wdową i jest bardzo ubogą... odrzekł zmięszany nieco tonem zapytania Parfeni.

— Czy i ojciec wasana został rozjechany?.. przerwał hrabia.

— A, tak... zaczął Parfeni.

— Czemuż nie widzę go na wykazie?... znów przerwał hrabia. Tyś konie oszacował po trzydzieści reńskich, a ojca nic!.. To konie cenisz asan więcéj jak ojca?..

Parfeniemu krew uderzyła do głowy i w uszach mu zadzwoniło.

— Cóż asan masz za interes?.. zapytał hrabia.

— Abyś pan hrabia zwrócił nam szkodę... tchem jednym wyrzucił z siebie Parfeni.

— Upominaj się wasan tam gdzie należy... odparł hrabia. Mówiłem żebyś wytoczył proces memu furmanowi, wytocz!.. mówiłem, że go poprę, i poprę.... A do mnie nie przychodź waść z podobnemi pretensyami, bo cię każę od siebie za drzwi wyrzucić... Masz waść Stanisławów i drogę prawa... Rozumiész?... Precz!..

Ostatnie „precz" wymówioném było głośno i dobitnie. Usłyszał je Parfeni już za drzwiami, bo na wyrazie „Stanisławów" już się był obrócił i opuszczał apartament tego sprawiedliwego człowieka. Zadzwoniło mu było w uszach, a teraz huczało i bębniło, i jakieś to czarne, to żółte płachty przesuwały się przed oczyma. Machinalnie stąpił przed siebie, przeszedł kilka pokoi, i machinalnie, wiedziony codziennie powtarzanym zwyczajem przechodzenia z jadalnéj sali do bawialni, wszedł do téj ostatniéj.

Przestąpiwszy próg bawialnego pokoju, spotkał grafa i barona. Ci rozstąpili się przed nim i pochylili się ku niemu drwiąco-szarmanckiemi ukłonami. Parfeni nie zważał na nich, przeszedł przez całą długość bawialnego pokoju i usiadł w głębi na fotelu, obok którego, oparta od niechcenia o drugi fotel, stała szabla grafa-porucznika.

Przed pogrążonym nie w zadumie, ale w jakimś zupełnym rozstroju myśli bohatérem naszym, stanął po chwili graf, i spoglądając nań z szydersko-wyzywającym uśmiechem, zapytał go po niemiecku:

— Słuchajno, ty!... czemuś ty się nie odkłonił, kiedy ja, graf Weissenberg, i ten oto pan, baron Alfred von.... ukłoniliśmy się tobie?..

Parfeni spoglądał na grafa, a nie będąc w stanie zebrać uwagi do słuchania go, nie wiedział o co mu chodzi i milczał.

— Czemu ty milczysz?.. zapytał go graf, robiąc mocny na „ty" przycisk.

Parfeni jeszcze milczał, ale z miny swego adwersarza i z tonu jego mowy domyślił się, że zapytania te ukrywają w sobie zaczepkę.

— Czemu ty milczysz?.. powtórzył graf zapytanie.

— Bo nie mam na co odpowiadać... odrzekł wreszcie Parfeni wstając z fotelu.

Jego podniesienie się i ton śmiały odpowiedzi wywarły na grafa pewne wrażenie. Odstąpił o parę kroków i rzekł:

— Jakto! to ty uważasz, że nie ma na co odpowiadać, kiedy graf Weissenberg się pyta?.. Ah! ty!....

I zastosował do niego kilka niemieckich obelg.

Graf dogadywał, lżył, Parfeni milczał. Krew w nim kipiała; hamował się jednakże.

— Pozwólcież mi panowie przeprosić siebie, jeżelim obraził... odezwał się, skorzystawszy z chwili umilknięcia grafa. Ja nie uważałem... Miałem zmartwienie.

— Zmartwienie?.. nie uważałem?.. przeprosić?.. krzyknął graf. Przeprosić?.. Na kolana, błaźnie!..

I ukazał mu rozkazującym giestem, palcem przed sobą.

Baron stał z boku, założył ręce w kieszenie, przypatrywał się, przysłuchiwał i uśmiéchał.

Parfeni nie drgnął, stał i milczał.

— Na kolana!.. powtórzył graf. A nie chcesz na kolana, to poczekaj!.. Będziesz musiał klęczéć, odmawiać pacierze i całować obrazki!.. A nie, to cię na podwórze wypędzę i psami poszczuć każę!..

To mówiąc pochwycił szablę, dobył, a zbliżywszy ją brzeszczotem pod twarz Parfeniego, ukazywał palcem wyrzeźbionego na nim orzełka i nakazującym tonem zawołał.

— Na kolana!.. to całuj i do tego się módl!..

W postępowaniu grafa czuć się dawało rozdrażnienie zepsutego a niepoczciwego dzieciaka. Może Parfeni to zrozumiał, że był taki cierpliwy. Lecz w końcu przebrała się cierpliwości miarka. Nie obowiązywała go jeszcze reguła pokory, nakazująca nastawiać policzki. Krew w nim zawrzała, gdy graf, podsuwając brzeszczot coraz bliżéj i natarczywiéj, trącił go kułakiem w nos. Po tém trąceniu, niby trzask piorunu, rozległ się raptem łoskot policzka. Graf dostał w twarz, zatoczył się daleko, w stronę w któréj stał baron, i porwał się wściekły, z podniesionym do góry pałaszem. Parfeni rzucił się ku niemu ze wzniesionym nad głową ciężkim fotelem, który w jego silnym ręku piórkiem się wydawał.

Walka trwała krótko. Parfeni machnął krzyżowym zamachem tylko trzy razy. Fotel rozpadł się na drobne kawałki; ale zanim się rozpadł, na posadzkę salonu powalił barona i grafa. Baron z piérwszego impetu dostał w łeb, graf w obojczyk i w rękę.

Hrabianka była świadkiem końca, to jest saméj walki. Słyszała rozkaz ostatni grafa i widziała trącenie w nos kułakiem, policzek i starcie się szabli z fotelem. Rzuciła się ona na rozjemstwo, ale nie było na to czasu, tak się wszystko szybko skończyło. Krzyknęła więc tylko, przerażona widokiem dźwigającego się boleśnie grafa i leżącego nieruchomie a krwią opływającego barona.

Parfeni stał, ciężko oddychając. Nozdrza mu się rozdęły, na oczach i czole osiadł wyraz jakiéjś groźnéj nieustraszoności.

Tak upłynęło chwil kilka. Przez ten czas zbiegli się domownicy i oblegli drzwi salonu, ciekawie zaglądając do środka i nie śmiąc przekroczyć progu.

Dano znać hrabiemu. Hrabia zapomniał o chorobie. Obandażowany przybiegł i osłupiał. Lecz wprędce wyszedł z osłupienia i wrzasnął przeraźliwym głosem:

— Związać tego łajdaka!..

Na ten krzyk służba gęstą kupą posunęła ku Parfeniemu, a Parfeni schylił się i podjął z podłogi leżącą nagą szablę grafa. Podjęcie to było wystarczającém, żeby służba się cofnęła, a hrabia uciekł, uciekł, zamknął się na klucz i krzyczał przeze drzwi:

— Niech idzie z mego domu!.. niech idzie!.. Żandarmy go znajdą, choćby pod ziemię się schował...

Bez żadnéj więc przeszkody Parfeni zabrał swój tornister, kapelusz i kij sękaty, i puścił się z powrotem do Hniłek.

Uszedł był już nasz bohatér przeszło milę, a jeszcze nie mógł sobie dokładnéj zdać sprawy z tego wszystkiego co zaszło. W przypomnieniu swojém widział tylko grafa i zawsze grafa, z którym miał bezpośrednio do czynienia.

— Musiałem mu przetrącić rękę, kiedy szablę wypuścił z garści... myślał sobie.

Tego zaś, żeby co innego jeszcze się stało, ani przypuszczał. O baronie np. ani pomyślał, tak w owéj chwili był się zapomniał... Przypominał sobie jeszcze coś o tłumie ludzi, o hrabi i hrabiance, i gdyby nie ta ostatnia, to mu na języku wisiała klątwa:

— Przeklętą niech będzie ta chwila, w któréj przestąpiłem próg tego pańskiego pałacu!..

I gdy tak rozmyślał, usłyszał raptem za sobą tentent czwałującego konia. Obejrzał się, chcąc z drogi ustąpić. To była hrabianka.

Doparła i zatrzymała się. Weleslej był spieniony.

— Panie Parfeni... rzekła Dynia zeskakując na ziemię. Ścigałam pana, żeby się z panem pożegnać;.. pożegnać i powiedzieć, że pana kocham... o! kocham..

I porwała go za rękę, i przylgnęła głową na pierś jego, i powtarzała, szeptała:

— Kocham... kocham... kocham...

Parfeni garnął ją do siebie i reflektował:

— Pani!.. co pani?.. pani!..

— Pani? zawołała raptem, odrywając się od niego. Pomiędzy nami niéma już pana, ni pani!.. Słuchaj, mój drogi!..

A jakby jéj dźwięk ostatnich wyrazów jakąś roskosz sprawił, powtórzyła je raz jeszcze:

— Słuchaj, mój drogi!.. Ty nie masz ani chwilki do stracenia... Ty... zabiłeś barona...

— Barona?.. powoli, z najwyższym podziwem wymówił Parfeni.

— Tak... zabiłeś... baron trup... Przyprowadziłam ci Welesleja... Weleslej szybko biega... Siadaj i ratuj się... A oto masz na drogę...

To mówiąc, wetknęła mu w rękę paczkę bankocetli.

Parfeni skipiał, jak to powiadają, na tę nowinę, a hrabianka wciąż mówiła:

— Czeka ciebie kryminał, a może i kara.. Ty musisz się skryć, skryć dobrze... Ty już księdzem być nie możesz... Skryj się, a potém, wiész jak do mnie trafić... Przez list, na pocztę... Listów moich nikt nie czyta, tylko ja... Ja będę czekała i wyglądała listu od ciebie... I skomunikuję się z tobą, i złączę się z tobą... Och! mój drogi! jak ja ciebie kocham!... a ty księdzem już nie będziesz...

— O, matko moja biédna!.. zawołał Parfeni i załamał ręce.

— Twoja matka, będzie moją matką,.. odrzekła mu Dynia pospiesznie.

Parfeni padł przed nią na kolana i składając ręce modlitewnie:

— Mój aniele! przemówił, nie opuszczaj ty jéj.... Ale pamiętaj, że ona chłopka... Szanuj ją!...

Dynia schyliła się mu w objęcia i szeptała:

— Ona będzie moją matką... Będę ją szanować... Będę taką, jaką ty mnie zrobiłeś... Ja ciebie kocham!

A ty, czyż mnie kochasz?..

— Kocham!.. Dynio...

Słońce tylko i Weleslej byli świadkami ich przysiąg; tylko trawy, zioła i zboża słyszały ich wyznania. Czy pozostali im oni wiernymi?

Nie wiem, o obojgu bowiem nie mogę wam, szanowni czytelnicy, dokładnéj dać wiadomości. Wiem tylko o Dyni. Ta po kilka razy do roku jeździ do Hniłek i odwidza wdowę Suchobrodzką, któréj dobrze się powodzi i któréj byłoby zupełnie dobrze, gdyby nie smutek za synem, nie opuszczający jéj ani na chwilę. Jedyna nadzieja jaką żyje, jest że się z nim jeszcze zobaczy. Tę nadzieję podtrzymują i podnoszą w niéj odwidziny Dyni. Z tego więc wnioskować można, że ta ostatnia coś o nim musi wiedzieć. Bo co się mnie tyczy, to tyle wiem tylko, że go żandarmi nie wytropili i nie dopędzili, pomimo ścisłych poszukiwań i pomimo że Parfeni nie przyjął ofiarowanego sobie Welesleja.

Hrabianka dotrzymuje mu wiary; nietylko bowiem za mąż nie idzie, ale:

1) taką sobie bibliotekę polską zaprowadziła, że aż miło;

2)utrzymuje wszystkie, gdziekolwiek wychodzące pisma i dzienniki polskie; i

3) swoim kosztem założyła w Hyłkach szkółkę wiejską.

Hrabia bardzo z tego niekontent, ale z jedynaczką rady sobie dać nie może.

KONIEC.

ŚRÓDLEŚNA CISZA.

(KRAJOBRAZ).

Leżę sobie spokojny i cichy,
Sosny szumią ponad moją głową,
Konwalijek wieńczą mnie kielichy,
Ze zielenią społem paprociową.

Parów dziki szumi w dal strumieniem,
Jeleń patrzy się w jasne źródlisko,
Pień ucięty bieli się za pieniem,
Niby wielkie ludów cmentarzysko.

Mech bogaty z urwisk ziemi zlata,
Jak wodospad przeczystéj zieleni,
Między mchami wąż swe ciało wplata
I blaskami dwóch źrenic promieni.

Tam w oddali, skłonione wichrami,
Z dwóch stron rzeki stare jodły padły,
Połamały się razem piersiami
I w bojowych się drganiach pokładły.

Wielka skała, co je przywaliła,
Tajemnice ich życia ukrywa,
Tylko rzeczka się z pod nich dobyła
I pomrukiem pieśń im śmierci spiéwa.

A przez tajnie gałęzi i liści,
Ku méj skroni, co w ich cieniu leży,
Aniołowie światła idą czyści,
Niby zastęp niebieskich rycerzy.

Lecz ja wtedy zrywam się od ziemi
I uciekam, gdzie ciemność dziewicza,
By mi słońce promieńmi jasnemi
Nie olśniło chmurnego oblicza.

Nie! w toń lasu uciekam nietkniętą,
Aż się dziwią sarny i jelenie,
I spozieram jak jasnością świętą
Parów świeci i lasu przestrzenie;

Jak na błękit cichy i przeczysty,
Ciemne idą leśnych drzew postacie,
A po nad nie król światła ognisty
W stuwiekowym błyszczy majestacie.

O bo drzewu łatwo na téj ziemi,
Zawsze chętnie w blaskach światła tonie;
Lecz nie człowiek z piersiami krwawemi,
Kiedy boleść i burzę ma w łonie.

J. Szujski.

KORRESPONDENCYE
TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Żytomiérz 8 grudnia 1860 r.

Od niejakiego czasu Żytomiérz gorliwie usiłuje zwrócić na siebie powszechną uwagę i poniekąd wybornie mu to udaje się. Ulice się przedłużają i rozszerzają, kamienice piętrzą, handel i przemysł dają ciągłe dowody swego rozwoju, bo drożyzna wzmaga się widocznie; na ulicach rubaszne figury i sumiaste wąsy rzadziéj dają się widziéć, natomiast zaś spotkać można na każdym kroku postacie których twarze blade, przy paletotach i kapeluszach czarnych, dobitnie charakteryzują mieszkańców *wielkiego miasta*. Klub odwidzany bywa codziennie; w kościołach, a raczéj przed kościołami, panuje wielki ruch w niedziele i uroczyste święta. Temu materyalnemu rozwojowi odpowiada zupełnie rozwój *artystyczny i naukowy*. Towarzystwa literackie, medyczne i muzykalne zawiązują się z bezprzykładną energią i rozwiązują z prawdziwie *dżentelmeńską* obojętnością; teatr, jak feniks, z popiołów swych odradza się co roku; znani i nieznani artyści od czasu do czasu pieszczą uszy szanownych Żytomiérzanów rozmaitemi koncertami, a księgarnie Husarowskiego i Budkiewicza rywalizują nakładami dzieł najrozmaitszych co do treści, dążności i ceny.

Taki stan rzeczy działa na umysł i imaginacyą i przejmując jakiémś febryczno-autorskiém drżeniem *statystę* wielkiéj socyalno - moralnéj dramy odgrywanéj na żytomierskiéj *arenie*, natchnął go chęcią zdawania sprawy z tego co będzie widział, słyszał i doświadczał, i wlał mu do duszy nadzieję, iż tym sposobem wykształci się na autora godnego zająć stanowisko w żytomiérskim literackim areopagu.

Wierny swemu natchnieniu, donosi on co jest u nas *na dobie* (styl miejscowy).

Weszły pod prassę następne dzieła: w drukarni A. Kwiatkowskiego, druga część powieści A. Grozy pod tytułem *Smieciński* i bardzo obszerny *Elementarz* (350 stronnic); w drukarni zaś J. Chrząszcza dalsze zeszyty *Legendy wieków* W. Hugo, przekład A. Pługa i A. N. Korzeniowskiego.

Wyszła z pod prassy w Warszawie, nakładem K. Budkiewicza, powieść Andrzeja Janowicza pod tytułem *Wilkołaki*.

Jest to, jak sam autor nazwał, obrazek fantastyczny, napisany z talentem i opracowany może nawet szczerzéj i sumienniéj, niż wiele wychodzących w kraju dzieł w tym guście. Autor przeprowadza poniekąd bardzo prawdziwą ideę, którą skreślił w epigrafie, i nader zręcznie rozwija całą treść powieści. Mimo wykroczeń przeciw *artyzmowi*, utwór ten obiecuje nam pisarza, którym z czasem pochlubić się będziemy mogli.

To zdanie, posłyszane od jednego *literata z professyi*, zapisałem co do słowa, nie wchodząc w trafność takowego, od siebie zaś pozostaje mi dodać, iż szukam w dziełku nazwaném *obrazkiem*, najprzód scen uwydatnionych, plastycznych, niewymagających żeby czytelnik był zmuszony dopełniać ich własną imaginacyą, to jest ożywiać, dodając im kolorów i barwy; powtóre zajęcie czytelnika ma być w jednym stopniu ciągle utrzymywane, to jest żeby on jednym, że tak powiem, rzutem oka był w stanie objąć jak główne, tak również i mniéj znaczące fakta, będące przedmiotem obrazku; po trzecie: niech tytuł i dewiza jaknajściśléj i jaknajwyraźniéj odpowiadają treści. Otóż do wszystkich tych wymagań obrazek p. t. *Wilkołaki* w zupełności jest zastosowany.

Teatr żytomiérski utracił najzdolniejszego, może jedynego swego artystę, L. Szajerowicza. Tę stratę usiłuje łatać, dając sztuki niewymagające dobréj gry, lecz osnute jedynie na tak zwanych *effektach* i obrazowości. Na nieszczęście zaś tutejsza dyrekcya, jak zwykle na prowincyi, nie celuje doborem dekoracyj i garderoby, i z tego wynika, że nie chcąc dawać komedyj, któreby przez złe odegranie wzbudzały zié-

wanie, daje patetyczne dramata, k[illegible] stawienie chybiają celu, bo śm[illegible] tniemi czasy była wystawioną quasi opera p. t. *dnia artezyjska*. Ab de Kader zjawił się na scenie z miną tęgą i z armią nieliczną wprawdzie, bo tylko z dwóch żołnierzy złożoną, lecz ich mundury podarte i poplamione świadczyły o dzielném uczęstnictwie nic w jednéj batalii.

Kraków, 12 grudnia 1860 r.

Pytasz, szanowny redaktorze, co słychać w Krakowie? To samo zapytanie robią wszyscy moi znajomi, przybywający czy to z okolicy, czy z dalszych stron kraju. Taki zaś ciekawy przychodzień widać Krakowa nie zna. „Co słychać w Krakowie? Tu nigdy nic nie słychać, chyba czasami Zygmunta na Wawelu.“ Tak ci odpowié każdy prawdziwy bywalec krakowski.

W naszym kochanym Krakowie, gdzie się wszyscy, jeżeli nie osobiście, to z widzenia dobrze znają i nieźle o sobie wiedzą, nie dziw, jeśli każdy przybysz zwraca ogólną na siebie uwagę, a cóż dopiéro gdy świéżo przybyłą jest nieznana niewiasta; słusznie może podejrzenia i nieufność są w takim razie większe jeszcze jak zazwyczaj. Mam tu na myśli „Niewiastę“ p. Turowskiego, pismo bellestrystyczne, przeznaczone dla kobiét, a wychodzące od dwóch miesięcy tygodniowo.

Oddawna już dawała się czuć potrzeba pisma, mającego na celu pouczanie, kształcenie naszych kobiét, pisma jakiego one dotąd w kraju nie posiadały, przymuszonemi będąc tém samém uciekać się do literatury francuzkiéj, niemieckiéj a nawet angielskiéj. Te zaś zagraniczne pisma, z innych względów może najdoskonalsze, pisane są dla Francuzek, Niemek i Angielek, nie zaś dla Polek, i dlatego nie przynosiły nam nietylko żadnego użytku, ale owszem okazywały się szkodliwemi. Brak może krajowych pism kobiécych przyczynił się niemało do rozkrzewienia obczyzny między wyższemi klassami naszego społeczeństwa. Wdzięczność się zatém należy p. Turowskiemu, iż nie zważając na niepewne rezultaty przedsięwzięcia, starał się zaradzić potrzebie ogółu. Publiczność przyjęła *Niewiastę* jaknajlepiéj. W piérwszych zaraz numerach umieścił ks. Serwatowski artykuły, trafnie bardzo przedstawiające przesadną bigoteryą, które z wielkiém zajęciem czytano; w ogóle uważamy wszystko (z małemi tylko wyjątkami) co dotąd „Niewiasta“ podawała, za dobrze opracowane i celowi pisma odpowiednie. Jednę tylko uwagę ośmielamy się zrobić, a to tę, iż dla kobiét powinnyby kobiéty pisać. Zarzut ten jednak nie dotyczy tyle redakcyi pisma, ile raczéj płci nadobnéj. Mamy niemało gruntownie wykształconych dam, któreby z wielką korzyścią w tym tygodniku odzywać się mogły; wystąpienie takie powinny one za swój uważać obowiązek. Wydawnictwo wzmiankowane podaje im ku temu sposobność, od nich należy korzystać z téj sposobności.

Kiedy tak „Niewiastę“ szczęśliwa zdaje się czekać przyszłość, dawniejsze pismo „Dodatek do Czasu“ dokonywa żywota. Już prawie od roku nieregularnie wychodząc, ma, jak słyszę, od 1 stycznia ustać zupełnie. Również i niemiecka „Gazeta krakowska,“ wychodząca tu od lat cztérech i będąca dawniéj za rządu krajowego krakowskiego organem oficyalnym tegoż rządu, z końcem bieżącego roku wychodzić przestanie.

Po zwykłéj corocznéj przejażdżce po bliższych okolicach królestwa polskiego, wróciło nasze towarzystwo dramatyczne, a w październiku i w listopadzie rozpoczęło przedstawienia na tutejszéj scenie. Zapewne wiadomo wam, że już nie istnieje teatr niemiecki, pobierający znaczne subsydya od rządu, a mimo to ciągle bankrutujący. Teatr ten miał dawniéj piérwszeństwo, korzystając ze znacznych prerogatyw, które teraz otrzymał teatr polski, z wyjątkiem naturalnie subsydyów; lecz tych teatr nasz nie potrzebuje. Świetneby zaiste robił interesa p. Pfeiffer, gdyby potrafił lub raczéj chciał zadosyć uczynić słusznym wymaganiom publiki. Aż dotąd bywał teatr przepełniony widzami, zwłaszcza podczas wystąpień p. Jana Królikowskiego, przybyłego tu z Warszawy. Znamienity talent tego artysty dramatycznego za-

i wszechstronnie ocenionym jest coś dodać na jego pochwałę. tylko, iż zachwycona grą jego w natłoczonym za każdą razą teatrze publiczność, hucznym oklaskiem uznanie mu swoje okazywała. Pan Królikowski występował między innemi w dramacie „Narcyz Rameau," w „Ruy Blasie," „Zemście" Fredry, „Zbójcach" Szyllera, „Dymitrze i Maryi" Korzeniowskiego, a ktokolwiek go w któréj z tych ról widział, nieprędko go zapomni.

Odkąd rząd krajowy do Lwowa przeniesiono, Kraków jest siedliskiem tylko władzy obwodowéj. Obawiano się dawniéj, aby miasto nie podupadło przez znaczne (jak mniemano) zmniejszenie się konsumcyi. Obawy te okazują się teraz mało uzasadnionemi, gdyż ubytek urzędników bynajmniéj nie wywarł na stosunki miejskie szkodliwego wpływu. Nawet szanowni właściciele kamienic nie utracili nic, pomieszkania bowiem, jak dawniéj, tak teraz, bajecznie są drogie.

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Redakcya Tygodnika Illustrowanego odebrała na pomnik ś. p. Bogusławskiego: od Jana Radwańskiego w Krakowie rsr. 6 kop. 68, i od A. Szostakowskiego z gub. kowieńskiéj kop. sr. 50.

Panu J. L. w Warszawie. Myśl rzucona jest piękna i nie przeczymy że prawdziwa; nie wszystko jednak co ładnie brzmi w słowach, da się równie dobrze wyrazić rysunkiem. My przedstawiliśmy rzeczywistość, nie wdając się w jéj poetyzowanie, i mniemamy że na tém właśnie polega cała wartość podobnych przedmiotów pamiątkowych.

Panu R. M. z Strzegowa. Nadesłana końcówka szachowa, jako zbyt namacalnie łatwa, w Tygodniku umieszczoną być nie może.

DONIESIENIA.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, w zastosowaniu się do artykułów 11go, 29go i 31go Ustawy zawiadamia, iż począwszy od dnia 27go b. m. i r., przyjmowane będą składki roczne za dowodami kassowemi, tak od osób, które już do Towarzystwa przystąpiły, jako też od wszystkich, którzy przystąpić zechcą. Kassa Towarzystwa, znajdująca się w lokalu Wystawy na Krakowskiem-Przedmieściu pod Nrem 11, otwartą będzie codziennie, wyjąwszy niedziele i święta, od godziny 11éj rano do 3éj popołudniu.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

G. GEBETHNER I R. WOLFF

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście nr 415 w pałacu hr. St. Potockiego otrzymała następujące nowości:

Barański Franciszek, Elementarz według nowéj metody z abecadłem ruchomém i wizerunkami Królów Polskich. Żytomierz 1860, cena kop. 15.— Borkowska z Chomętowskich Aleksandra, Wspomnienia z przeszłości, obrazki poświęcone młodemu wiekowi. Warszawa 1860, cena kop. 60. — Buliński Ksiądz Melchior, Historya kościoła powszechnego tom I. Warszawa 1861, cena rs. 1 kop. 50.— Chryzostoma św. pisma tom IV. Warszawa 1861, cena rs. 1.—Dyakowski Mikołaj, Dyarjusz Wiedeńskiéj okazyi r. 1683. Kraków 1860, cena kop. 60. — Hugo Wiktor, Legenda wieków po polsku, przez Adama Pługa (Apollo Korzeniowskiego), zeszyt I. Żytomierz 1860, cena kop. 25. — Humboldt Aleksander, Podroże przekład z niem. Michała Bohusza Szyszki, oddział 1, 2ty. Wilno 1861, cena rs. 3 kop. 50.— Humboldt Aleksander, Podróże przekład z niemieckiego, Michała Bohusza Szyszki oddział II, tom I i II, cena rs. 3 kop. 50. — Kalendarzyk kieszonkowy gospodarski na rok 1861. Warszawa 1860, cena kop. 60.—Kamińska A. O. Zasadnicze wiadomości z nauki arytmetyki do ułamków, Wilno 1861, cena kop. 15. Katechizm dla małych dziatek, ułożony przez towarzystwo przyjaciół nauk. Żytomierz 1860 cena kop. 5.— Łada Kazimierz, Historya muzyki. Warszawa 1861, cena rs. 2.— Pani Dulska jéj kotka i piesek, książeczka z obrazkami dla dzieci. Warszawa 1861, cena kop. 30.

Libretto J. Chęcińskiego do opery S. Moniuszki p. n.:

VERBUM NOBILE,

wkrótce dać się mającéj na scenie Teatru Wielkiego, wyszło nakładem Księgarni GUSTAWA SENNEWALDA, przy ulicy Miodowéj, Nr. 481 (2) i jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych Księgarniach w Warszawie i na prowincyi. Cena egzem. kop. 30.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła: Almanach de Gotha pour 1861. Cena rsr. 1 kop. 65.— Aleksandra Humboldt'a podróże, przekład z niemieckiego Michała Bohusza Szyszki, 4 tomy, 8ka Wilno 1861. Cena rsr. 7. — Pisma św. Jana Chryzostoma czyli Złotoustego, patryarchy Konstantynopolitańskiego, 6 ksiąg. O kapłaństwie arcydzieło: przełożył z greckiego na polski ks. Anzelm Załęcki, tom IV przekładu, 8ka. Cena rsr. 1. — Katechizm zabezpieczenia życia, rozmowy wzięte z życia, ogłoszone przez dra Augusta Wiegand, 18ka, Poznań 1860. Cena kop. 30.—Krzysztof Zborowski, dramat w 3ch obrazach z dziejów narodowych Polski XVII wieku, 18ka, Wilno 1860. Cena kop. 75. Historya Naturalna dla szkół ułożył Dr Józef Szafarkiewicz kurs IIgi z 85 drzeworytami w tekscie. Wydanie drugie poprawne i pomnożone, 8ka. Cena rs. 1.—Juljana Bartoszewicza Historya literatury polskiéj potocznym sposobem opowiedziana, 8ka. Cena rs. 4.—Niemen od źródeł do ujścia. Pamiętnik podróży żeglarza, Litewską wiciną z Kowna do Królewca zredagowany i przerobiony, przez Władysława Syrokomlę, 8ka. Wilno 1861. Cena rs. 1 kop. 20.—Pisma Gabryelli 4 tomy, 16ka. Warszawa 1861. Cena rs. 6.— Powiastki ludowe, przez Eleonorę Ziemięcką z rysunkami litografowanemi. Warszawa 1860. Cena rs. 1 kop. 20.

Taż księgarnia otrzymała na skład główny po zniżonéj cenie: Początki architektury napisane przez K. Podczaszyńskiego w 3ch częściach, 4ka. Cena zamiast rsr. 16 kop. 20, rsr. 9. — Część III osóbno: Składnia budowli ogólna, z 11 tablic wzorów i 35 drzeworytkami wśród pisma. Cena zamiast rs. 7 kop. 20, rsr. 4. — Nomenklatura architektoniczna, czyli słowomiennik cieśliczych polskich wyrazów. Wydanie powtórne przez Karola Podczaszyńskiego, 8ka, Warszawa 1855. — Cena zamiast rsr. 1 kop. 80, rsr. 1 kop. 20.

NAKŁADEM

Księgarni Polskiéj

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszedł zeszyt VIIImy dzieła:

WIZERUNKI

KRÓLÓW I KSIĄŻĄT

panujących w Polsce od Mieczysława I do Stanisława Augusta.

Zebrane i rysowane według autentycznych źródeł przez Al. Lessera, w formacie o połowę mniejszym od już ukończonéj Galeryi Królów Polskich w wielkim formacie.

Zeszyt ten obejmuje 4 portrety: 1. Zygmunta Augusta. 2. Henryka Walezego. 3. Stefana Batorego. 4. Zygmunta IIIgo.

Cena pojedyńczego zeszytu 4 portrety obejmującego złp. 4 (kop. 60). Tekst oddzielnie złp. 2 (kop. 30). Płacący prenumeratę z góry otrzymują całe dzieło 10 zeszytów, 40 portretów z krótkim tekstem rsr. 5, a z przesyłką na prowincyę rs. 6.

Po wyjściu całego dzieła, co niezadługo nastąpi, cena niezawodnie podwyższoną zostanie na rsr. 10.

Pismo perjodyczne o **Hygienie**, pod redakcją Dra *Gregorowicza*, o którém doniesiono było w *Kurjerze* niedawno, wychodzić będzie zeszytami; zeszytów rocznie będzie 26, każdy 2 arkusze druku obejmujący. Prenumerować można w księgarni *Friedleina*, przy ulicy Senatorskiéj Nr 460, lub u Redaktora, mieszkającego przy ulicy Tłomackie Nr 600, po rs. 1 kwartalnie. Przyjmują także przedpłatę wszystkie Urzędy i Stacje pocztowe Królestwa, po rs. 1 kop. 34 kwartalnie.

POSADZKI PARKETOWE

w trwałéj i fornirowanéj robocie, w najgustowniejszych wzorach wykonane, możemy po nader tanich cenach, jako powszechnie za najlepszy wyrób uznane, polecić, nadmieniając że przy znacznie powiększonéj produkcyi jesteśmy w stanie wszelkim zamówieniom w jak najkrótszym czasie zadość uczynić. Oryginalne modele, rysowane wzory i cenniki na żądanie chętnie bywają nadsyłane. Zapakowanie bardzo tanio się liczy.

Ilfeld przy Harzu w Królestwie Hanowerskim. Ilfedska fabryka posadzek parketowych i wyrobów z drzewa

FRANCISZKA ATHENSTAEDT.

Zawiadamiam szanowną publiczność, iż odtąd i nadal w cukierni mojéj przy ulicy Długiéj w hotelu Polskim Nr 585, wyrabiać będę nowe gatunki Tortów, jakoto:

(1) **MARACHINO-TORT**

Nasycany essencyją marachinową, nader delikatny, niestarzejący się, a ztąd do przewożenia na prowincję zdatny. Tort ten, lubo w cenie nader umiarkowanéj (od rs. 1 k. 50 do rs. 4 za sztukę) zaleca się wszystkiemi przymiotami wyborowego ciasta i na szczególną uwagę w dobroci swojéj zasługuje.

(2) **WICTORIA-TORT**

Ciasto na sposób angielski, wyrób wyższéj szkoły cukierniczéj, obok przyjemnego widoku, mieści w sobie wszystko, cokolwiek najmilszego smak złączyć może. Cena za sztukę od rs. 3 do rs. 6.

R. Wiśnowski.

MASSY

do zaprawy podłóg i posadzek w różnych kolorach, oraz

MASSA BIAŁA WOSKOWA

do posadzek mozajkowanych drzewem różno-kolorowem jakoteż prędko schnące

ZAPRAWY LAKIEROWE

i

FARBY OLEJNE

do podłóg nie wymagających froterki i wszystko to wyrabiane

W PATENTOWANEJ FABRYCE

LAKIERÓW

J. A. KRAUSSE

przy ulicy Bonifraterskiéj Nr. 2163 wprost Kościoła,

a w obecnéj porze w znacznym zapasie przyrządzone, sprzedają się po cenie stałéj i nadzwyczaj umiarkowanéj tak w Fabryce, jak i w Głównym Składzie przy ulicy Miodowéj Nr. 484 nowy 8, wprost Rządu Gubernialnego i w wielu handlach Warszawskich, jako też we wszystkich miastach Królestwa i Cesarstwa.

SYROP OWOCOWY

(Extrait de Fruits).

ulgę przynoszący w chrypkach, kaszlach i w ogóle w słabościach piersiowych, wyrábiany z najlepszych owoców południowych, codziennie świeży sprzedaje się w cukierni Roberta Wisnowskiego, przy ulicy Długiéj Nr 585 w hotelu Polskim.

Dom handlowy

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz egzystującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowéj pod Nr 492, otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście (pod Nr 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych, francuzkich, angielskich i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pająki, Zegary stołowe i ścienne, Świeczniki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące i wiszące. Konsolki, Bronzy do firanek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony, A tout cas, Spicrurgi, Portmonetki, Cygarniczki, Pugilaresy, Kapelusze jedwabne paryzkie, Porcelany chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Paletoty gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby bronzowe i porcelanowe. Polecając się prześwietnéj publiczności, wyżéj wymieniony Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowańsze ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, któremi dotąd Publiczność go zaszczycała.

ZAKŁADY TECHNICZNE

LUDWIKA SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek,

aopatrzony został przy odpowiedniéj porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

i

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach FARBY te, jak również i LAKIERY, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmniéj nawet obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególniéj zastosować się dają do robót dla osób zamieszkałych na prowincyi, gdzie większa trudność w dokładném przyrządzeniu takowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdém naczyniu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią i etykietą zakładu.

Poszukiwanie interessentów do znacznego procentu.

Pewien zakład życzy sobie dla większego rozprzestrzenienia swych czynności, posiadać adressy właścicieli dóbr i domów na prowincyach i mniejszych częściach kraju. Nastręcza to obszerne pole do działania i znaczne korzyści tak dla agentów, urzędników, jak i komiwojażerów i t. d.—Bliższą wiadomość udzieli.

HAASENSTEIN i VOGLER w Hamburgu.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.— Warszawa dnia 17 (29) grudnia 1860 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr 391.

BIBLIOTEKA K.U.L. Uniwersytecka